

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 14

Jerozolima, 16 października 1943 r.

Rok I

MARIAN GÓRECKI

LIŚCIE NA POBOJOWISKACH

Kalendarz wydarzeń

Oczekujemy wielkich działań, które zapowiedział Churchill na porę, gdy zaczęła spadać jesień. Oczekujemy ich tym bardziej, że według półoficjalnych wypowiedzi bieg wypadków potoczył się szybciej, niż to przewidywał opracowany w Quebec kalendarz planowanych zamierzeń. W przededniu agonii Niemiec z pod firmy Hitlera, coraz trzeźwiej rozglądają się ludzie po całym globusie i u- przytomniają sobie, że Niemcy nie są jedyną ciemną mocą, przeciwną urzeczywistnieniu zasad czterech wolności. Istnieje przede wszystkim Japonia, która ma także swych satelitów i cichych sprzymierzeńców-wspólników. Japonia od półtora roku kontroluje tereny, liczące 400 milionów mieszkańców. Czas najwyższy zakłócić jej zadowolenie się na tym obszarze. Niedługo spadek wód birmańskiej rzeki Irravadi pozwoli lordowi Mountbat- ten przystąpić do działań, a wówczas połączo- ne wysiłki trzech głównodowodzących na te- atrach japońskich — Mac Arthura, Czan- Kai-Czeka i Mountbattena — zaczęły zapewne dawać szybsze niż dotąd osiągnięcia, tym bar- dziej że współdziałać z nimi będzie coraz sil- niejsza flota na Pacyfiku, która, jak ostatnio czytaliśmy, rozporządza nową, straszliwą, nieznana bronią.

Fakt, że w ciężkiej wojnie przeciw Japonii sojusznicy obywają się bez stworzenia drugie- go frontu przez Związek Sowiecki, oraz fakt, że tylko drobna część prasy sojuszniczej wy- raza zał pod adresem Związku, że nie uczest- niczy w wojnie przeciw Japonii, posiada swą wyraźną wymowę. Prostu Stany Zjedno- czone i Wielka Brytania, mimo że nie szcze- dzą pochlebstw (jak ciotki zarozumiałym dzie- ciom), w gruncie rzeczy nie traktują tego partnera jako równego sobie, a więc zdolnego do zwiększenia wysiłku wojennego. Nie szcze- dząc ciepłych słów, obypują one Związek So- wiecki także mnóstwem cennych podarków, ale zawsze są w stanie ustami swoich amba- sadorów powiedzieć basta, tak jak to zrobił przed kilku miesiącami admirał Standley.

Z dalekiej Japonii poprzez bezmiar Eura- zji wrócimy do Europy.

Osaczenie Niemiec

Poczucie rzeczywistości, umiaru i godno- ci nie jest jednakowe u wszystkich przeciwni- ków Niemiec. Churchill troszczy się wyłącznie o istotę rzeczy i w miarę wzrostu naporu na Niemcy z wielkoduszością prawdziwego siła- cza sam obniża ocenę znaczenia ciosu. Śród- ziemnomorskiego, łaskawie przyznając, że może on być nazywany nie drugim, lecz trze- cim frontem. Odwrotnie gdzie indziej można się spotkać z zachowaniem, które wywołać musi ostrzeżenie: „Nie szagaj, matuszka, tak szeroko”. We wstępnym artykule dwutygod- nika „Wojna i rabocizj klas” wyrażono po- głąd, że angielscy robotnicy z zapalem wzięli udział w wojnie dopiero wtedy, gdy zagro- żony został Związek Sowiecki. Tego gatunku insynuacja zrobić musiała i zrobić w Anglii wrażenie, niweczące wszystkie dyplomatyczne posunięcia w rodzaju rozwiązania Komin- ternu i t. p.

Jak naprawdę wpływają na osaczenie Nie- miec działania na poszczególnych teatrach woj- ny? Jedni krzyczą, że bez Stalingradu nie było- by El-Alamein, drudzy mniej mówią, a więcej działają. Pod wpływem propagandy flukтуа- cja pojęć o sile lub słabości Związku Sowiec- kiego podobna jest do gry fal w zatoce Bis- kajskiej. Zanim świat się zorientował, że Niemcy na wschodzie Europy wykonują pla- nowy odwrót strategiczny, wykorzystują moż- liwości, o których pisaliśmy już w tym piśmie, sądzono na podstawie komunikatów sowiec- kich, że szereg świetnie pomyślanych operacji, wykonanych z taktyczną przewagą, zadaje Niemcom z dnia na dzień nowe klęski. Póź- niej, w miarę tego jak porównywano bieg czasu z przebytą przestrzenią, zaczęto się spostrzegać, że ruch odbywa się powoli. Póź- niej zauważono, że będące rzekomo w pośgu armie sowieckie naprawdę nie nadążają poda- wać w komunikatach nazw zdobytych miej- scowości, gdyż Niemcy wcześniej już ogłosili o tym, co opuścili. Rzeczoznawcy wojskowi są zdania, że napięcie walk oraz straty w czasie niemieckiego odwrotu strategicznego na wschodzie Europy są proporcjonalnie

mnijšie niż w czasie ich odwrotu z pod El- Alamein i z pod Tunisu. Ważniejszą jednak rzeczą, która stała się oczywista, jest fakt, że dzięki odwrotowi, który był oszani- any tylko przez strażę tylną, a więc przez drobną część sił, Niemcy dali wypoczynek swym ar- miom i uzyskali dużą ilość sił dyspozycyjnych, które mogą użyć na innych teatrach.

W rezultacie stało się jasne po pierwsze, że poczynając od Kurska, panami położenia byli Niemcy, bo w odwrócie strategicznym, inaczej niż w odwrócie wymuszonym, inicja- tywa działania pozostaje po stronie tego, kto się cofa: po drugie, że przyczyną odwrotu nie było położenie na froncie sowiecko-niemiec- kim, lecz konieczność oswobodzenia części sił dla przeciwwstawienia ich przeciwnikom na za- chodzie.

W rozumowaniu teoretycznym można po- wolić sobie na hipotezy nieprawdopodobne, ażeby w ten sposób bardziej wyjasnić rze- czy oczywiste. Postępując w ten sposób, mo- żemy postawić pytanie: jaki obrót przybra- łyby wydarzenia na Wschodzie, jeśliby dziś puszczono Hessa do Hitlera z zapewnieniem, że pozostawia mu się wolną rękę. Choć taki rozwój zdarzeń jest wykluczony, ale dopra- dy „matuszka, nie szagaj!”

Trzy możliwości na Wschodzie

Jesteśmy na przedpolu Rzymu. Na morzu Egejskim po raz pierwszy od dwóch zgóra- lat na wyspie Kos zaswistały pociski. Nad Niemcami bez dachu nad głową lotnicy zwal- niają z zaczepów coraz to większe ilości RDX. W Ameryce, co ze wszystkiego najdonioś- sze, generał Marshal pakuje swe nesery pod- różne, by udać się na stałe do kwatery, w której, jako głównodowodzący, nacisnie kla- wisze, by zadać decydujące ciosy. Nie ma- my prawa zaglądać do jego partytury, a z drugiej strony wiemy, że nasze najsmądziej- sze rady nie wpłyną na jej zmianę. Zostaw- my kapelmistrz przy jego dziele, tym bar- dziej, że jest ono opatrzone klauzulą: tajem- nica wojskowa.

Nasze usiłowania uchylenia zastony, kryją- cej dzień jutrzejszy, mogą się swobodniej skie- rować na front niemiecko-sowiecki i tutaj ze- rodkować, gdyż: po pierwsze, inicjatywa jest tu dotąd po stronie niemieckiej, a więc mamy prawo badać jej tajemnice, po drugie teatr wojenny jest tu określony i może być kon- kretnie analizowany, podczas gdy na Zachodzie trzeba się dopiero domyslać czy najpierw pójdą na warsztat Bałkany, czy Norwegia, Marsylia czy Calais, po trzecie, chodzi tu o front, który w najbliższych dniach przebiegać może po naszych ojczystych zagonach. Na te- mat prawdopodobnego rozwoju wypadków można snuć tutaj co najmniej trzy hipotezy: a) Niemcy zatrzymają się na jakiejś linii, b) Niemcy rozpoczną zwrot zaczepny, c) front zostanie zlikwidowany w drodze rozbicia Niemców lub przez rozejm.

Obrona niemiecka na Wschodzie

Hipotezę pierwszą uważać można za sto- sunkowo najmniej prawdopodobną, gdyż w tej wojnie utrzymanie linearnych pozycji, wzoro- wane na wojnie ubiegłej, odniosło bankru- ctwo. Taki system obrony wobec intensy- wnych przełamań, wykonywanych bronią pan- cerną, jest zbyt kosztowny ze względu na ko- nieczność posiadania silnych, głębokich odwo- dów. Jeśli Niemcy częściowo go zastosują, to napewno nie w czystej formie, znanej z lat 1914—1918. W obecnej fazie swego odwrotu Niemcy mają do rozporządzenia przywilej te- renowy, jakim jest Polesie, rozdzielające jed-

nolity dotąd teatr wojenny na dwa odrębne fronty. Polesie w koncepcjach niemieckich będzie grało wielką rolę. Jest ono z pewnością doskonale ufortyfikowane i choć obecnie, na jesieni, ma mały zapas wód, niewątpliwie sta- nowić będzie wielką przeszkodę dla armii so- wieckiej.

Na północ od Polesia przedni skraj opo- ru niemieckiego zorganizowany być może na linii, przebiegającej ogólnie od Rygi przez Bo- rysów. Operacyjnie teren tamtejszy pozostawia obrońcy wiele możliwości manewrów, opartych o rzeki, bagna a gdzieś niegdzie jezio- ra. Doświadczenia z wojny 1914—1918 dały tu Niemcom doskonałą znajomość arkanów terenowych i pozostawiły wspomnienia sa- mych sukcesów.

Na południu do Polesia — przednim skra- jem jest strefa Dniepru. Taktycznie, ze wzglę- du na charakter brzegów, sama rzeka nie jest łatwa do obrony, ale jej bieg ogranicza ope- racje w ten sposób, że daje obrońcy czas do przeciwdziałania w razie sforsowania rzeki. Przy koncepcji obronnej ze strony Niemców, nie należy poważnie się liczyć, ażeby zechcie- li oni trwale utrzymać strefę Dniepru.

Dalej na zachód istnieje Styr, Stochód, ale bardziej jest prawdopodobne, że zwrok niemieckiego dowództwa zatrzyma się na Zbruczu i Dniestrze. Na ten wybór wpłynąć mogą dwie przyczyny:

1. pozostawanie bardziej na wschodzie stworzyłoby groźne położenie w razie powsta- nia nowego frontu na Bałkanach,

2. na Dniestrze można się spodziewać meźniejszej niż przedtem postawy armii ru- muńskiej, która broniłaby przecież bezpośred- nio wejścia do swego domu.

Kończąc analizę tej hipotezy, powtórzmy trzeba, że w każdym razie Niemcy nie mogą prowadzić działań obronnych w czystej posta- ci i jeśli już nic innego nie pozostanie, to przejdą do dalszych działań opóźniających, któ- rych są mistrzami. W dalszym ciągu za sobą pozostawiać będą tylko ruiny i zgłiszczu, a skracając swe linie komunikacyjne i jedno- cześnie wydłużając komunikację przeciwnika, będą coraz bardziej oswobadzać swe siły, gdyż coraz mniej ich wystarczy dla zrównoważenia przewagi liczebnej przeciwnika.

Kontrofensywa niemiecka

Hipoteza o niemieckim zwrocie ofensyw- nym jest także mało prawdopodobna. W umys- łach Polaków, którzy nie chcieliby, aby po- żoga wojny ze Wschodu wtoczyła się w tej fazie wojny na ich ziemi, natęczyły nasu- wa się analogia z 1920 rokiem i przewidują oni wciąż nadzwyczajności. Istotnie, gdyby niemieckie naczelné dowództwo nie było za- przątnięte w pierwszym rządzie niebezpieczeń- stwem, grożącym mu ze strony Eisenhower'a i Marshal'a, to, rozpoczętną od Pskowa i Krymu, mogłoby zepewne zlikwidować wszy- stkie „grupy mozyrskie”, kroczące dzisiaj w tryumfalnym pochodzie na Zachód. W obec- nych warunkach wydaje się pewnym, że Psków, a chyba także Krym, zostaną opu- szczone. Realniejsza szansa kontrofensywy nie- mieckiej powstać może dopiero, gdy armie sowieckie w swym ruchu naprzód rozdzielone zostaną przez Polesie na dwie grupy. Wów- czas przywilej lepszych komunikacji będzie grał na korzyść Niemców i będą oni mogli się pokusić o zdobycie owoców takiego sui gene- ris działania po liniach wewnętrznych. Jak i kiedy, oraz czy na południe czy na północ od Polesia najlepiej mogłoby oni uderzyć, o tym przedwcześnie tu pisać.

W numerze:

A. Szymański: Jawność zbrojeń niemieckich. — B. Łączkowski: Przed osiemdziesięciu laty. — Amerykańskie plany powojennego po- rządku świata. — Z. Kotowicz: Szala ideal- nych wartości. — T. Sowiński: Miranda de Ebro. — J. Larren-Lenczowski: Listy z Per- sji. — Jn.: Brytyjski rocznik polityczny. — T. Szanfary: „Szanfary”. Staroarabska ka- syda i jej trzy przekłady polskie. — A. Mie- kiewicz: Szanfary. Kasyda z arabskiego. Fragment. — K. Prus: Próba analogii. — H. Naglerowa: Mówimy o was. — M. Czeh- nowski: Wiersze. Napis. On. Hamsin. Droga mleczna. — S. Batdori: Ciotkow. — B. Wolica: Kazimierz i pisarka. — J. Jarema: Dokąd zdąży współczesna sztuka polska. — W. Bro- niewski: Nieuctwo krytyki, czyli mało wy- tworny atak na „Faustynę”. — Angliey o Rządzie Polskim i gen. Sosnkowskim — D. Szczerbie: Opinie angielskie. — ww.: Prze- gląd polityczny. — Z. Broncel: Poza wszelką granicę... Premiera teatralna w Tel-Awivie.

Prawdzie w oczy

Przechodzimy do trzeciej, najbardziej brzemienną hipotezy — likwidacji frontu. Przed wrześniem 1939 r. nazywano i traktowa- no paskudnie tych ludzi w Polsce, którzy alar- mowali o możliwości katastrofy wojennej. Dzisiaj, nauczeni doświadczeniem, porzucić musimy strusią politykę chowania głowy w piasek wobec widma pokoju.

Polscy ministrowie wciąż z samozapa- rciem trzymają rękę, wyciągniętą do zgody z narodem rosyjskim, mimo że władze sowieckie zerwały stosunki z naszym rządem. W ten sposób wyczerpujemy cały zapas dobrej woli, jaka jest w ludzkiej mocy.

Stoimy zaś w przededniu możliwości, że armie sowieckie wkroczą do Polski, której rządów nie uznają. Były to w dziejach sto- sunków międzynarodowych wypadek bez prece- densu w wojnach koalicyjnych. Wprawdzie w r. 1813 cesarz Aleksander, wkraczając w po- ścigu za Napoleonem do Prus Wschodni/h, mianował w Królewcu swego namiestnika, ale był to legalny ex-premier pruski Stein i, co najważniejsze, król pruski był w owym cza- sie wiernym jeszcze sojusznikiem Napoleona. Wprawdzie armie generała Eisenhower'a, wkraczając na Sycylię, wprowadziły tam rzą- dy Amgotu, ale Włochy należały jeszcze wte- dy całkowicie do obozu nieprzyjacielskiego. Wprawdzie Hitler mianuje w każdym kraju swych gauleiterów, ale nie należy on do zespó- łu ludów, związanych Kartą Atlantycką, wię- cej, stoi on poza nawiasem ludzkości. Wpraw- dzie, w razie realizacji pierwszej lub drugiej z naszych hipotez, Polska pozostawać będzie jeszcze czas jakiś pod jednostronnym jar- mem, ale mimo to wszystko trzeba zawczasu spojrzeć prawdzie w oczy.

Sposobów likwidacji frontu niemiecko- sowieckiego istnieje wiele. Najprostszym i za- razem najokropniejszym z nich byłoby popro- stu zawarcie pisanego lub niepisanego rozejm- u gdzieś na linii Ribbentrop-Mołotow, lub zgodnie z umową z sierpnia 1939 r. na rzece Wisle Wprawdzie wiarołomstwo, które było fundamentem i arkadą tych linii, wyklucza powtórne znalezienie się tych nazwisk pod ja- kimś nowym traktatem, i dlatego wierzyć można zapewnieniom Ribbentropa, że o roko- waniach pokojowych ze Związkiem Sowieckim nie ma dziś mowy, ale w krajach dyktator- skich wszelkie inscenizacje są możliwe, bo za- leżą one wyłącznie od despotycznej woli reży- serów, a nie od zdolności aktorów i wiernego tekstu sztuki. Może gen. Własow uderzy czo- łem jak książę Kurbki przed Groźnym Iwa- nem i uzyska przebaczenie, może gen. Sey- dlitz na czele spadochroniarzy z powodzeniem dokona napadu na kwatery główną Hitlera, odda go pod sąd i proklamuje wolne, demo- kratyczne Niemcy, może jako pośrednik wkro- czy jakiś hrabia Czernin. Każda z tych moż- liwości byłaby dla narodu polskiego naj- dotkliwsza, gdyż przedłużałaby okres biolo- gicznego wyniszczania naszego narodu.

Nie wiele jednak w obecnych warunkach zmieniliby się pod tym względem, gdyby lik- widacja frontu nastąpiła w drodze faktyczne- go załamania się armii niemieckiej na Wscho- dzie. Jedyna różnica wynikałaby z faktu, że wtedy Polacy mogliby chwycić za broń, porzu- caną przez Niemców, by sami desperacko bro- nić swego istnienia.

Jesteśmy narodem, który pierwszy chwy- cił za broń przeciw agresji niemieckiej, i dziś nie dopuścimy, ażeby w okresie likwidacji tej agresji nasz los kształtowany był bez nas.

Z deszczu pod rynnę

Kiedy wspólnym wysiłkiem żołnierzy, re- prezentowanych przez generałów Eisenhowe- r'a i Aleksandra, na oswobodzonych terenach Włoch rozpoczął działać Amgot, nie powstały wtedy wśród Zjednoczonych Narodów wąpli- wości co do racjonalności tej przejściowej in- stytucji, oparte na zaufaniu do jej cywilizo- wanego personelu. Kiedy jednak Związek So- wiecki ze względów prestiżowych wyraził ży- czenie wzięcia udziału w okupacji Włoch i do Komitetu Śródziemnomorskiego wszedł komi- sarz Wyszyński, to zaraz gen. de Gaulle posta- wił na ostrzu sprawę współuczestnictwa Fran- cji w tym Komitecie, a z kolei także Grecja i Jugosławia.

Następny numer „W Drodze” poświęcony będzie Persji i stosunkom polsko-perskim.

Na numer złożą się m. in. artykuły:

Karola Badera, posła RP w Teheranie
Mariana Góreckiego
Jakuba Hofmana
Stanisława Kościłkowskiego, profe-
sora Uniwersytetu S.B. w Wilnie
Jerzego Larren - Lenczowskiego
Franciszka Machalskiego
Bronisława Minca
Teofila Szanfarego
Melchiora Wanikowicza

Polska — Persja
Perskie źródło linii Curzona
Bibliografia druków polskich w Persji

Polska a Persja w toku dziejów
Wasmuss — Lawrence niemiecki
Omar Chajjam, rzeczywistość i fikcja
Eksperyment Szacha Rezy
Sa'adi po polsku
Perski proszek

Numer będzie bogato ilustrowany.

Kiedy mowa jest o wyzwoleniu Holandii lub Norwegii, wszyscy zgodnie przyznają, że od początku wyzwolenia tych krajów, jeszcze w toku trwających operacji wojennych, całkowite sprawowanie władzy winno być powierzone legalnym rządom, przebywającym na emigracji.

Kiedy jednak z kolei rzeczy zechcemy skonkretyzować, jak wyglądałyby te sprawy w razie wyzwolenia ziem polskich, gdyby rzeczywiście miało to rozpocząć się od Wschodu, to stajemy wobec niewyjaśnionej zagadki, której tajemnica obchodzi nie tylko Polaków.

Trzeba w tej sprawie poza stosunkiem uczuciowym mieć ustalony pogląd, oparte na normach prawa i obyczajach międzynarodowych. Najnowsze pod tym względem precedensy stwarza instytucja Komitetu Środkomorskiego, o którym jednak powiedzieliśmy, że zajmuje się on sprawami kraju, dotąd nieprzyjacielskiego. Jako przykład bezpośrednio

analogiczny do sytuacji ziem polskich, można więc wziąć tylko przebieg wyzwolenia Korsyki. Odbywało się on także przy współudziale floty i armii lądowej Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, lecz władza na Korsyce została całkowicie i pod każdym względem oddana w ręce francuskie. Ten przykład również nie oddaje jednak całkowitego obrazu stosunków polskich. Komitet Francuski rozporządza atrybutami rządu francuskiego, mimo że w Vichy siedzi Petain, zaś w Polsce nie ma żadnej wątpliwości, że istnieje jeden tylko rząd legalny, uznany przez cały naród polski i wszystkie Zjednoczone Narody. Ktokolwiek więc na ziemiach polskich chciałby działać wbrew temu rządowi albo mimo niego, ten stanąłby wyraźnie poza normami prawa i obyczajów międzynarodowych. Istnieją jednak w tej dziedzinie konkretne a groźne precedensy faktów dokonanych, łamiących normy prawa, stojących ponad nimi. Okresem szczególnie obfitującym w pogwałcenia prawa narodów

był ten niedawny, ale jakże zatarty w naszej pamięci okres, który nazywamy monarchijskim. Rozpoczął się on drobnymi zaniedbaniami ze strony tych, którzy powołani byli do czuwania nad przestrzeganiem prawa. Pozostawienie dalej w stanie niejasności sprawy, decydującej o biologicznym istnieniu narodu polskiego, byłoby gorsze od tamtych zaniedbań i stawiałoby nasz naród w położeniu desperackim. Mamy pewność, że dobrze to rozumieli nie tylko Churchill i Roosevelt, ale także Stalin, ale odwołanie się do konferencji między nimi świadczy o tym, że różnice jakościowe ich rozumów podsuwają im niejednoli te wnioski.

Wśród niepewności jutra tylko zwarta bojowa postawa narodu polskiego może być gwarancją, że nikt nie zaniedba przestrzegania prawa międzynarodowego. Wszystkie wiadomości nadchodzące z Kraju świadczą, że w Polsce w żadnym wypadku nie uda się wywołać wojny domowej ani osiągnąć kompromi-

sów, naruszających całość i niezawisłość Rzeczypospolitej, choćby w tym celu Polacy chwycić się musieli nowych metod walki, i wtedy zamiast trącej liryzmem retoryki, która chronologię zdarzeń zapowiadała według pory spadania liści jesiennych, oczom świata ukazać się może jakowaś reprodukcja dramatycznego marszu drzew, które wzbudziły niegdyś grozę zbrodniczej lady Macbeth, a które tym razem będą długim, niekończącym się szeregiem polskich białych brzoź pączących i polskich wierzb przydrożnych, nawet z obciętego kikuta wypuszczających wciąż świeże, młode i pełne życia pędy i wzbudzą się wówczas echa lesne w zaułkach wszystkich naszych miast i w przysiółkach wszystkich wsi i wszędzie gdzie dosięgnie ręka wiernego ojczyźnie, a pozbawionego domu emigranta polskiego. Żadne liście retoryczne, ani rajske listki wstydlivych przemilczeń nie potrafią zasłonić tej tragicznej prawdy.

ANTONI SZYMAŃSKI

JAWNOŚĆ ZBROJEŃ NIEMIECKICH

Gangsterska robota pokojowa, a szczególnie wojenna Niemiec i Japonii do spółki, wierzyć należy, tak dała się we znaki wszystkim narodom koalicyjnym i większości państw neutralnych, a prawdopodobnie także i ni-jednym obecnym satelitom Niemiec, że rozrachunek z tymi pirackimi mocarstwami naszej ery winien być rzetelny.

Siła rzeczy likwidacja niebezpieczeństwa niemiecko-japońskiego leży w rękach anglosaskich. Wydaje się zbędnym podkreślanie zainteresowania narodu polskiego w dziesiątkowaniu Rzeszy. „Drang nach Osten” trwa u Germanów od okresu przedhistorycznego naszego państwa. Czy ta ekspansja prusko-niemiecka na Odrę i Wisłę miałaby się teraz skończyć? Oby. Ale postawienie takiej diagnozy oznaczałoby pójsie po linii dla nas najwygodniejszej i najniebezpieczniejszej.

Jeżeli, co dać Boże, nastąpi również „powojenny” rozgrom Rzeszy, to o skuteczności koalicyjnych i naszych interwencji przeciwnieckich będzie można mówić dopiero za lat dziesiątek. Jad bandycki wgrzyzł się bowiem tak głęboko w organizm germański, że kontrola i zabiegi zagraniczne będą musiały być bez przerwy stosowane, jeżeli ta zaraza ludzkości, rozbój niemiecki, nie ma wybuchnąć na nowo.

Germańska choroba nieuleczalna nazywa się „militaryzmem”. Militarizm totalny. Wychowanie domowe, szkolnictwo, tryb życia podczas pracy i poza nią, poglądy oświatowe, nienawiść do wszystkiego, co obce, słowem akurat nie to, czym prezydent Roosevelt zakończył (Quebec 25 sierpnia b.r.) swe credo, cytując nakaz Boży: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego”.

W obecnych publikacjach anglosaskich roi się o pytania: „Jeżeli koalicja 1918 roku była zwycięska, dlaczego nie rozbroiła Niemiec? Jeżeli dopuszczono po roku 1918 do zbrojeń niemieckich, dlaczego państwa koalicyjne się rozbroiły?”

Całe szczęście, że świat koalicyjny roztrząsa te zagadnienia. Niestety, późno. „Czy zbrojenia republiki weimarskiej i Trzeciej Rzeszy Hitlera były tak tajne, że nie można ich było rozpoznać i uniemożliwić Rzeszy kontynuowanie wojennych przygotowań?”

Niemieckie „Interregnum wojenne 1918—1939” obfituje w doświadczenia, które dla przyszłości muszą być wyzyskane.

Niemcy za Eberta—Hindenburga—Hitlera nie mogli wyraźnie myśleć, mówić, pracować, jeśli chcieli wykazać zagranicy nie tylko swe zamiary rewanzowe, ale i przygotowania do podboju świata.

„Radykalno-socjalistyczne” rządy Noskego (ministra wojny), Rathenau’a (zamordowanego mimo niewątpliwych zasług dla Niemiec) zapewniły niemieckim siłom zbrojnym najlepsze warunki rozwojowe. Niemiecki przemysł wojenny, który przed kontrolą koalicyjną uszedł zagranicę, podobnie jak pozostałe w Niemczech fabryki wojskowe, nie krepował się w informowaniu o swej produkcji, wydając dorocznie przejrzyste ujęte albumy o technicznych rezultatach swych warsztatów. Wspomnieć należy choćby o samych statystykach oficjalnych („Statistische Jahrbücher”), ażeby podkreślić źródłowe dane, tak niezbędne dla rozpoznania danego państwa.

Wojskowe wydawnictwa lały się jak z rogu obfitości. „Offene Worte”, „Mittler & Sohn” przodowały wśród setek wydawnictw, drukujących rzeczy o zagadnieniach wojskowych. Ukazywały się roczniki oficerskie („Rangliste”), z nich wyczytać można było m. in. anomalnie liczne dymisje, świadczące o gromadzeniu rezerw oficerskich dla przyszłej rozbudowy armii. Kolekcje jednostek „tradycyjnych” (kompanie, szwadrony, baony, dyony statystycznej — po roku 1919 — Reichswehry” objęły tradycje pułków blisko milionowych sił zbrojnych Niemiec hohenzollernowskich z przed 1914 roku), ogłaszanych w rocznikach personalnych oficerów, nie koniecznie potwierdziły system zwiększania wojska niemieckiego, ale świadczyły o zamiarach i pracach przygotowawczych w tym kierunku. Z roczników znikły nazwiska oficerów, pojawiające się w późniejszych latach. Nie pojawiały się ci, o których rodziny ogłaszały wspomnienia pośmiertne. Były to zwykłe wypadki lotnicze. Czy można było domagać się bardziej

wyraźnego dokumentu, że niemieckie wojsko, pozbawione lotnictwa, szkolilo pilotów?

Regulaminy niemieckie, z wyjątkiem ostatnich lat, były do nabycia w sklepach, śledzący sprawy wojska niemieckiego wiedzieli, jakie szczegóły organizacyjne, dyslokacyjne, wyszkoleniowe, taktyczne podawali Niemcy w swych podręcznikach („Taschen Kalender”), ukazujących się dla wojska lądowego, marynarki wojennej, lotnictwa. Ilu oficerów naszych z ciekawością śledziło wiadomości o wojsku Rzeszy, podawane również każdego roku przez generała. V. Cochenhausen’a, w wydawnictwie „Truppenführung”. Czasopismo oficjalne „Reichskriegsministerium” — „Militär Wochenblatt” — otrzymywały wszystkie nasze centra wyszkoleniowe. Roilo się od przeglądów, zazwyczaj miesięcznych (t. zw. „Rundschau”), oddzielnych dla wszystkich broni i służb. Był we wszystkich tych publikacjach zalew wiadomości wojskowych. Należało do wyjątków, i to wówczas ciekawych, że wojskowe czasopisma pisały o zagadnieniach politycznych. Wojsko uciekało od polityki, jak od zagłady. Do polityki zmusił wojsko niemieckie narodowy socjalizm. Będzie to jedna z przyczyn militarnego rozkładu Rzeszy.

Niemcy wydawały prawdopodobnie najbogatszą literaturę wojskową.

Wspomnę o książkach z zakresu wojsk pancernych i zmotoryzowanych generała Gunderiana, jednego z pierwszych i głównych organizatorów niemieckich wojsk pancernych. Ćwiczenia i manewry niemieckie były szeroko opisywane przez korespondentów wojskowych. Nie były to obserwacje laików, zapewniających łamy prasowe wrażliwość natury czy opisami przyjęć, ale omawiania przez specjalistów spraw wojskowych, których piszący mieli tak wiele do poruszenia, że nie stać ich było na rozczulenia się pięknem świtu budzącego się dnia walki.

Dla bardziej szczegółowej charakterystyki: istniały biura wycinków z prasy niemieckiej, nadsyłające (na życzenia) artykuły z zakresu wojskowego, politycznego, handlowego. Naturalnie jestem daleko od tego, aby twierdzić, że Niemcy najścisłniej starali się wlewać do mózgów zagranicznych każdy szczegół swych zbrojeń. Ale, dla przykładu, na odcinku prasowym był na to sposób, należało dodatkowo organizować kontrolę całej prasy. Po manewrach niemieckich często ten sam autor pisał w gazetach berlińskich o pracy sztabów, w Królewcu o umocnieniach polowych, w Dreźnie o piechocie, w Hanowerze o kawalerii, w Lipsku (dla poligonu Jüterbog) o artylerii i t. d.

Pomijam równie szczegółową literaturę organizacji paramilitarnych w okresie przedhitlerowskim, jak wydawnictw m. in. „Heim Stalowego” („Stahlhelm”), po roku 1933 jednostek militarnych narodowych socjalistów.

Z innych resortów przytaczam oficjalne wydawnictwa „Luftansy” z szczegółami aparatów, lotnisk, wydawnictwa o drogach kołowych, kolejowych, wodnych, gdzie było wiele szczegółów technicznych o mostach, nasytach, tunelach, dworcach, węzłach. Były podawane długości, głębokości, szybkości (rzek, ich nurtów), służ, elektryfikacji. Chyba starczy tych szczegółów, ważnych dla spraw wojennych.

Znamy Niemców. Są systematyczni, pracowici, przewidujący. I na odcinku rozpoznania należy ich bić ich własną bronią.

Wyobrażam sobie, że u wielu wywołam zdziwienie, może nawet pretensje, że zawi-

łem ich oczekiwania sensacji, jeżeli powiem, że praca zagranicznych placówek wojskowych w Niemczech opierała się na ścisłej, codziennej, dla fachowca niezwykle pouczającej i ciekawej pracy naukowej.

Przypominam sobie moją obserwację przodujących oficerów niemieckich, uciekających od rozmów z niemieckimi cywilnymi interpelantami, nieraz korespondentami, generała V. Seeckt’a, marszałka Georinga, admirała Raedera i tylu innych oficerów niemieckich z ich otoczenia, którzy w środowiskach, znających sprawy wojskowe, lotnicze, morskie, wdawali się w długie dyskusje wojskowe.

Tak bywa chyba w każdym zawodzie, wśród fachowców. Oficerowie niemieccy nie kryli zbrojeń Rzeszy.

Dla uroizmaienia przytoczę tu epizod II-go oddziałowy. Kilka lat przed wojną, szczególnie przedwcześnie podany jako poległy na Sycylii, generał Francji Walczący, Koeltz, wielki przyjaciel Polaków, b. szef Oddziału II-go Sztabu Generalnego, znawca kampanii w Prusach Wschodnich w r. 1914, został w Królewcu w najbrutalniejszy sposób wtrącony do więzienia, ponieważ przechodził w tym mieście obok koszar. Sprawa stała się skandalem dyplomatycznym, zwolnienie nastąpiło dopiero po kilku dniach, Niemcy uzyskali m. in. zmianę na stanowisku pomocnika francuskiego attaché wojskowego w Berlinie.

Minęło niewiele czasu. Pod Wersalem, w rejonie postoju jednostek z czołgami francuskimi, wówczas najlepszymi bodaj na świecie, zidentyfikowano kilku podejrzanych obserwatorów cywilnych, jak się okazało, m. in. kilkakrotnego szefa niemieckiego Oddziału II Sztabu Generalnego i trafem pomocnika niemieckiego attaché wojskowego w Paryżu. Był to początek lipca. Można sobie wyobrazić zaskoczenie i zdetonowanie generała V. Tippleskircha, gdy niezwłocznie po „przechadze” wersalskiej doręczono mu, w jego mieszkaniu paryskim, zaproszenie naczelnego dowództwa francuskiego na tradycyjną na polach elizejskich defiladę w dniu 14 lipca oraz rządowy bankiet.

Napewno byli szefowie oddziałów druzgich, i francuskiego, i niemieckiego, nie znajdowali się w rejonach wojskowych — gen. Koeltz dla przylądania się architektury koszar królewskich, czy generał Tippleskirch (jako typowy reprezentant szkoły paziów doby Wilhelma II) dla szukania pod Wersalem nastroju wspomnieniowego ulubionej przez niego epoki Ludwika XIV. Ale również ani w jednym, ani w drugim wypadku ciekawość obserwatorów zagranicznych nie zagrażała Berlinowi czy Paryżowi. Obydwaj oficerowie należeli do najpoważniejszych reprezentantów swych wojsk i napewno zbyt wysoko się ceniili, by popełniać lekkomyślności.

Przytoczony epizod, jeżeli ma w sobie nutę sensacyjności, to chyba jedynie z tytułu gentlemankiej reakcji francuskiej na grubiańskie traktowanie królewskie.

Może ktoś z czytających ten artykuł będzie miał wątpliwości, czy jest rzeczą wskazaną pisanie o jawności byłych zbrojeń niemieckich lub też czy publikowanie takich wiadomości nie będzie należało do kolekcji ujawnień, które przestrzegają Niemców, jak należy w przyszłości pogłębić tajne przygotowania wojenne. Może zastrzeżenia te są słuszne. Osobiscie nie przeceniam tego ryzyka.

Zbrojenia niemieckie, jeżeli mają jednak być groźnymi, muszą mieć tak szerokie ramy działań, że utrzymywanie tych przygotowań wojennych w tajemnicy nie jest do przeprowa-

dzenia. Niemcy muszą uczyć się wszystkiego, co pachnie „frisch, froelicher Krieg”, muszą przede wszystkim maszerować, „kriegspielować”, bębnić, dmuchać w piszczałki, jeżeli idzie o nawyk, potrzebę dnia codziennego, nie tylko wojska, ale całego społeczeństwa. Niemiecka maszyna przygotowań wojennych, mająca na celu podbój, a wyznająca w strategii i operacjach przemoc totalną nad przeciwnikiem, musi mieć swój największy wpływ na wychowanie, wyszkolenie swego społeczeństwa, musi mieć decydujący głos we wszystkich dziedzinach zbiorowego i indywidualnego życia „Reichu”.

Niemcy, które nie były, a po wojnie, da Bóg, jeszcze mniej będą samowystarczalne, zwłaszcza w zakresie wyżywienia, nie mogą od Renu po Odrę nakryć się nieprzejrzystym kłosem, jak to we wschodniej Europie i Azji potrafiła kapitalnie zrobić Rosja Sowiecka, dezorientując m. in. całkowicie świat w rozmiarach swych olbrzymich zbrojeń.

Jeżeli nie chcemy w przyszłości mieć do czynienia z „tajemniczością” zbrojeń niemieckich, to stójmy na straży zwalczania ukrywającego się w naszych szeregach dyktantyzmu i nieznajomości fachu.

Nie jest moim zadaniem, nie leży w zakresie moich możliwości odpowiedzieć na wytynające się pytania: skoro tak jawne były przygotowania wojenne Niemiec, a setki biegłych (wśród nich Brytyjczycy, Amerykanie, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Czesi i wielu innych) zagranicznych obserwatorów alarmowało swe rządy o nadciągającej zawierusze wojennej, jak mogło dojść do bezprzykładnego w dziejach ludzkich zaskoczenia zbrojnego ze strony Berlina, a potem Tokio.

Kompetentne nasze instancje państwowe w odpowiednim czasie odkrywają szczegółowe karty na temat licznych interwencji polskich na Zachodzie, zwłaszcza w Paryżu i Londynie, dążących do interwencji militarno-policyjnej przeciwko zbrojącej się Rzeszy.

Marszałek Piłsudski domagał się tego zwłaszcza po wystąpieniu Niemiec z Ligi Narodów.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich do nadreńskiej strefy zdemilitaryzowanej Polska zapewniła Francję o swej gotowości zmuszenia Niemców do respektowania wojskowych klauzul traktatu Wersalskiego. Nie dla formy stanął marszałek Smigły-Rydz na moście nad Renem, pod Strasburgiem. Generał Sikorski w licznych wystąpieniach alarmował Polskę i Francję przed zbrojeniami niemieckimi. Jeszcze jesienią 1938 r., w czasie sprawy sudeckiej, interwencja przeciw Berlinowi miała szanse powodzenia. Jaki to był okres neuralgiczny dla formującej się „Trzeciej Rzeszy”? Dowodem tego było m. in. przerażenie, jakie ogarnęło naczelną niemiecką instancję polityczną i wojskową, gdy następowała okupacja Nadrenii. Ówczesny ambasador RP w Berlinie, Lipski, odczuł to namacalnie, gdy w ramionach jego znalazł się nagle jeden z czołowych Niemców, nerwowo rozstrojony, narzekający na gwałtowność Hitlera, mogące wywołać zbrojną interwencję zagranicy. Po zajęciu Pragi (15 marca 1939 r.) i po całkowitej mobilizacji Niemiec, było już za późno.

Zbyt wielkie było szczęście narodów i państw, zwłaszcza Francji, Anglii, Ameryki, mających decydujący głos, zbyt wielka była ich, tak jak i Polaków, nienawiść do wojny, by mogli i chcieli uwierzyć w zbrojenia, a zwłaszcza w zdziwienie Niemców i Japończyków. Nie dawano wiary, że w XX wieku, w Europie Centralnej, może żyć naród gangstersów.

Ingorancja i gentlemaneria zachodnich państw w odniesieniu do Niemiec nie miała granic, nie tylko w czasach pokojowych, ale nawet wówczas, gdy Naród Polski na ołtarzu walk o wolność własną i ludów składał potworne hekatombie ofiar z życia i mienia, a lotnicy brytyjscy i francuscy nad Niemcami zrzucaли ulotki.

Na szczęście sytuacja obecnie zmieniła się radykalnie. Tylko radykalne środki zapobiegawcze mogą uchronić przyszłe pokolenia przed nawrotem tragedii wojennych, jakich obecne pokolenia doznały.

Ekspedycja paczek do Rosji i innych krajów

SZWAJCARSKI DOM WYSYŁKOWY

Tel-Aviv. ul. Hess 1. róg Allenby 33

Jerozolima, R. Leibowich, ul. Ben Jehuda 2. Sansur Bldg.

Haifa, Dr Groshut, ul. Herzl 32 (Księgarnia)

Nathanya, M. Kuschlin, ul. Herbert Samuel, Dom Handlowy

Natania, Dom handlowy Kuschlin, ul. Herbert Samuel

Rechovoth, Keibel Księgarnia, ul. Herzla

naprzeciw Anglo-Palestyńskiego Banku.

„EGO”

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

PRZED OSIEMDZIESIECIU LATY

Aż do pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości Powstanie Styczniowe było wydarzeniem świeżym, żywą raną, na którą sypało się sól goryczy i potępienia, lub naklejało plaster chwały.

Później wspomnienia roku 1863 ubrano w rodzaj oficjalnego uznania, zdawkowego i bez głębszej treści. Pokolenie Polski Odrodzonej z pewnego rodzaju uczuciem szczęśliwej wyższości myślało o tragicznym pokoleniu beznadziejnej walki. Liczba ukazujących się na różnych uroczystościach, ubranych w granatowe mundury weteranów topniała z roku na rok. Topniały też wspomnienia o Powstaniu, zmywane nadbiegającą falą wydarzeń.

Sprawy emigracji, walki o wolność, prawa do niepodległości — wszystko to nagle nabrało znów innego znaczenia po wrześniu 1939 r.

O ile bliżej, plastyczniej rysują się nam wielkie linie spraw polskich, wciąż te same poprzez wszystkie różnice i zmiany, wynikające z odmiennego obrazu świata. O ile wyraźniej odróżniamy kontury postaci w czarnych powstaniowych, ich bohaterstwo i poświęcenie.

Powstanie roku 1863 było dziełem szarych ludzi. Manifest Tymczasowego Rządu Narodowego z 22 stycznia 1863 r. znalazł najpierw echo jedynie w nielicznej grupie społeczeństwa. Jak pisał dr. Adam Lewak: „Bierna masa chłopska, o ile stanęła do walki, to dopiero później pod hasłem obrony wiary, albo w nadziei utrwalenia zdobyczy społecznych. Także i sfery posiadające, bogatsze mieszczaństwo i zamożniejsze ziemiaństwo, wahały się zanim po upływie pierwszych tygodni przyłączyły się do powstania. Mając więcej niż stan średni do stracenia, oczekiwały, jaki będzie rozwój wypadków i czy powstanie nie skończy się na słabym proteście przeciwko brance Wielopolskiego“.

„Tajny Rząd Narodowy — pisał dalej dr. Lewak — chociaż w składzie swoim miał licznych reprezentantów Białych i chociaż miał częste stosunki z przywódcami byłego Towarzystwa Rolniczego, był przede wszystkim przedstawicielem stanu średniego. Członkami Rządu byli dziennikarze, prawnicy, studenci i nauczyciele, a co najwyżej dzierżawcy i właściciele drobnych własności ziemskich“.

Cały szereg aktów politycznych Rządu Narodowego w latach 1863—64 czyniony był przez ludzi, którzy byli i pozostali nieznanymi szerszemu ogółowi. Tym więcej należy podziwiać rozmach ich myśli. Wydaje się, jakby stygnące serce Polski dawało każdemu następnemu pokoleniu więcej siły i entuzjazmu. Coraz szersze warstwy narodu brały udział w walce o niepodległość.

Manifest Tymczasowego Rządu Narodowego z 22 stycznia r. 1863 zwracał się do narodu rosyjskiego o wspólną walkę przeciwko caratowi w imię „wolności i braterstwa ludów“. Uprzednio przez dwa lata ciągnęły się pertraktacje pomiędzy Centralnym Komitetem Narodowym a przywódcami rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. „Układali się Bakunin z Mierosławskim, polskie koła wojskowe w Petersburgu, emigranci polityczni polscy i rosyjscy w Londynie i Paryżu i wreszcie delegaci związków rewolucyjnych rosyjskich z Centralnym Komitetem Narodowym w Warszawie. Dnia 5 grudnia 1862 r. podpisano w Petersburgu układ między Centralnym Komitetem Narodowym a Komitetem Wolnej Rosji, układ, w którym rewolucjoniści rosyjscy obiecywali dla powstania polskiego „skuteczną dywersję“, utrudniającą transport nowych sił wojskowych z głębi Rosji do Królestwa, oraz propagandę i sprzyśnięcie wojskowe wśród wojsk, stacjonowanych w Polsce. Sprawa Ziem Zabranych omal nie rozbiła układów z rewolucjonistami, tak jak była istotnym powodem nieudania się ugody, przeprowadzanej przez Gorczakowa i Aleksandra Wielopolskiego. Ze spornego zagadnienia, kto ma występować w imieniu ziem rosyjskich, wybrnięto przez kompromis. Trzeci punkt ugody rewolucjonistów rosyjskich z polskimi mówił bowiem, że przedstawiciel Centralnego Komitetu Narodowego na Ukrainie „może się w sprawach Rosji porozumiewać bezpośrednio z Komitetem Wolnej Rosji“. W rezultacie „wielkie obietnice rewolucjonistów rosyjskich przyniosły tylko odezwę „Kokołota“, wzywającą żołnierzy rosyjskich do walki z caratem, zastrzeżenia co do praw polskich na Ziemiach Zabranych, co do celów i charakteru powstania, ale nie dały żadnych czynów rewolucyjnych“.

Bakunin, który w owej epoce uważany był za najradykałniejszego z radykalnych, wziął udział w wyprawie Łapińskiego na Żmudź, „aby zaznaczyć prawa rosyjskie do ruchu tamtejszego“. Był to jedyny akt czynnego współdziałania rewolucjonistów rosyjskich z powstańcami. Przy tym Bakunin głosił: „Kocham Polskę i aziewięć innych narodów na terytorium dawnej Polski i chciałbym, żeby wszystkie były niezależne“.

„Kiedy już walka gorzała i kiedy umysły w Rosji były opanowane przez propagandę antypolską Katkowa, Herzen zarzucał powstańcom klerykalizm i idee antyspoleczne, wywołując odprawę ze strony tak radykalnego demokracji, jak Garibaldi“. „Porozumienie grudniowe Centralnego Komitetu Narodowego z Rosjanami odbywało się pod auspicjami Eu-

ropejskiego Komitetu Rewolucyjnego w Londynie. Do Londynu udawali się też wysłańcy komitetów warszawskich, którzy zabiegali o broń i oficerów dla powstania, a liczyli na pomoc rewolucjonistów innych narodów“.

Sądząc z treści Manifestu Rządu Narodowego z 22 stycznia, powstańcy nie mieli wielkich złudzeń co do możliwości pomocy ze strony rewolucjonistów rosyjskich. Manifest ten zwraca się do narodu rosyjskiego o walkę wspólną przeciwko caratowi; równocześnie jednak głosi: „Przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszają się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po Tobie, biada Ci, bo w obliczu Boga i świata całego przeklinamy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wyzwiemy Cię na straszny bój zagłady...“

Jak wynika z końcowych słów Manifestu, miał to być „bój ostatni Europejskiej Cywilizacji z dzikim barbarzyństwem Azji“.

„Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rosji, do broni, bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinąć“.

Słowa te manifestu Rządu Narodowego z 22 stycznia 1863 r. zawierają cały program polityczny.

Dla twórców powstania r. 1863 nie ulegało wątpliwości, że Polska powinna być odbudowana w granicach z r. 1772. Przesyłając na ręce ks. Władysława Czarotorskiego, agenta dyplomatycznego Rządu Narodowego w Paryżu, swą zgodę na zawieszenie broni 13 czerwca 1863 r., — Rząd Narodowy domaga się jako warunku zasadniczego rozciągnięcia go na Ziemię Zabrane. Później, 4 września tegoż roku, Rząd Narodowy w depeszy swej do ks. W. Czarotorskiego podkreśla, że istotą zatargu polsko-rosyjskiego jest sprawa Ziem Zabranych. „Ze sfer moskiewskich, równie jak z Zachodu, przychodzą nam wieści o zamierzonych ze strony Moskwy koncesjach, a lubo te, gdyby miały miejsce, nie mogły być tak blahymi, jak były dotąd, z pewnością jednak powiedzieć można, jak to już księżu poprzednio powiedziano, że żadna kombinacja, która by się nie rozciągała do Litwy, żadną miarą przez opinię publiczną przyjęta być by nie mogła i broni z ręki wytrącić nie była by w stanie“.

W depeszy z 29 czerwca 1863 r. skierowanej również na ręce ks. Władysława Czarotorskiego, Rząd Narodowy pisze: „W razie nagłego oświadczenia się w kwestii zawieszenia broni, Rząd Narodowy upoważnia już obecnie W. Ks. Mosć do zaprzestowania przeciw wyłączeniu spod rozejmu Litwy i Rosji i do przedstawienia, że Rząd Narodowy nie jest odpowiedzialny za rozlew krwi w tych prowincjach, jeżeli rozejm do nich zastosowany nie będzie“.

Instrukcje te Rząd Narodowy wysłał w pełnej znajomości trudności, które jego stanowisko w sprawie Ziem Zabranych pociągnie. Już bowiem 4 maja 1863 r. ks. Wł. Czarotorski donosi w swym raporcie dla Rządu, że „stanowisko mocarstw w razie zwołania konferencji międzynarodowej w sprawie polskiej wyglądałoby tak, iż Austria żądałaby autonomii administracyjnej dla całego zaboru rosyjskiego, Anglia wykonania traktatów z r. 1815 w rozległym znaczeniu (t. j. autonomia Królestwa Kongresowego), Francja zaś niepodległości dla Polski, choćby obciętej co do zabranych prowincji“. W kilka dni później, 14 maja, ks. Czarotorski depeszuje do Rządu Narodowego: „Jak w kwestii włoskiej myślą zasadniczą Napoleona III. była konfederacja, tak w naszej kwestii myślą jego (od kilku

miesięcy pielęgowaną) jest Polska dwunastomilionowa, czyli powiększone Księstwo Warszawskie. Ale jak Włosi wytrwałością i siłą narodowego ducha przełamali koło, w które zakląć ich chciała idea napoleońska, tak i od naszej równie wytrwałości i siły zależeć będzie rozszerzenie granic, nakreślonych projektem cesarskim. Możemy to już teraz szerzeniem powstania na Podolu, Wołyniu, Ukrainie udowodnić. Czy są po temu środki i przygotowania, o tym sam tylko Rząd Narodowy stanowić jest w mocy. W interesie wszakże sprawy leży, aby powstanie pod zaborem rosyjskim nakreśliło samo granice państwa polskiego“.

Czarotorski ocenia ujemnie stosunek rosyjskiej partii rewolucyjnej do sprawy Ziem Zabranych. W dodatku do raportu swego, przesłanego Rządowi Narodowemu pod datą 30 czerwca 1863 r. pisze: „Partia rewolucyjna rosyjska, zgadzająca się na odbudowanie Polski, ale w gruncie nie chcąc nam oddać Litwy, a szczególnie Rosji, odwoływała się do powszechnego głosowania, chcąc temu rozstrzygnięciu tej żywotnej dla nas kwestii powierzyć. Nie było w tym niezawodnie dobrej wiary z jej strony, a tylko pewność, że przy wpływach rządowych wypadek głosowania będzie korzystnym dla Moskwy“.

Stanowisko kolejnie zmieniających się Rządów i przedstawicieli ich zagranicą nie uległo zmianie w ciągu całego czasu Powstania. Nawet gdy Powstanie dogorywało, Rząd Narodowy wyraźnie zaznaczał, że nie może się wyrzec Ziem Zabranych. W lutym 1865 r., już po upadku powstania, J. Kurzyna wspólnie z generałem L. Mierosławskim redagują „Ostatnie słowo Rządu Narodowego“. Znowuż znajdujemy w nim niedwuznacznie brzmiące słowa w sprawie Litwy i Rosji: „Wnieśmy cześć ponownie krwią poświęconego sojuszu z narodami Litwy i Rosji. Poprzysięgniemy na mogiłach tysięcy świeżych ofiar, iż w myśl dziejowego węzła „wolni z wolnymi, równi z równymi“ pragniemy żyć i pracować pospołem w przyszłości. Wyrzeczmy się wszelkiego nacisku siły, by w potrójnym miłości sojuszu, nie słowy jeno, stanąć protestem przeciwko wszechświatowskiemu zamachom Moskwy i zdradnie cywilizacyjnemu zapędowi Germanii“.

Powstanie upadło. Zbyt słabe były siły własne. Zawiodła pomoc zagranicą, pomimo licznych obietnic. Zawiodły też rachuby na pomoc rewolucjonistów rosyjskich. „Najstraszniejszą cechą caratu jest to, iż jest on rodzajem religii“ — mówił Michelet. Rewolucjoniści rosyjscy, walczący z caratem, nie byli wolni od mistyczno-mesjanistycznego poglądu na rolę Rosji w Europie i w świecie. Ich dążenia polityczne nie wiele odbiegały od dążeń caratu. Dotyczyło to najsłabszych, z pełnym poczuciem własnej misji i misji Rosji Bakuninem na czele.

Upadek powstania wywołał wielki wstrząs w poglądach społeczeństwa polskiego. Krytykowane bezużyteczny — zdaniem pokolenia pozytywistów — przelew krwi. Wytykano w szczególności błędy taktyczne, między innymi nieprzejednane stanowisko w sprawie Ziem Zabranych. Krytyka ta dała początek nowemu ruchowi politycznemu, ruchowi ugody z Rosją. Szczytowym momentem nadziei była chwila wstąpienia na tron Mikołaja II, młodego „Faraona“ Prusa. Pomimo wyraźnego braku sukcesów tej tendencji ugodowej istniała ona aż do czasu Wielkiej Wojny. W pełni jej trwania, na krótko przed Wielką Wojną, Rosja przyłączyła do Ziem Zabranych Chełmszczyznę, wydzielając ją z Królestwa. Był to jaskrawy dowód, że jednostronna dobra wola nie wystarcza dla pomyślnego rozwiązania stosunków między dwoma krajami.

W chwili odradzania się niepodległego Państwa Polskiego starły się ze sobą dwa poglądy — jeden szerszy, federacyjny, który dążył do odrodzenia Polski jeśli nie w granicach r. 1772, to w każdym razie jako państwa federacyjnego, obejmującego znaczną część Ukrainy i Litwę. Drugi uważał za niebezpiecz-

ne mrzonki tego rodzaju dążenia i chciał Polski w granicach, zbliżonych do etnograficznych. Klęska wyprawy kijowskiej wzmocniła tendencję do rezygnacji z dużej części ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Uważano za nakaz realizmu politycznego takie granice Polski, w których nie byłoby zbyt wielkiej liczby mniejszości narodowej. Zwolennikiem tej tezy był w pierwszej linii prof. Grabowski. Zrezygnowano więc z Mińska, gdzie stały oddziały polskie, zrezygnowano z części Wołynia, gdzie istniało tak poważne skupisko ludności polskiej, iż Sowiety stworzyły tam Polski Okręg Autonomiczny, później zlikwidowały. Zrezygnowano wreszcie z czterech t. zw. „polskich“ powiatów b. gubernii podolskiej. W powiatach tych, w okolicach Kamieńca Podolskiego, istniały liczne wsie polskiej szlachty zagrodowej i duży odsetek ludności polskiej w miastach i miasteczkach. Przekreślono pod wpływem twardej konieczności dziejowej cały dobytek gospodarczy i kulturalny Polski na Ukrainie. Strata nie była małą. Na Ukrainie istniały największe fortuny polskie rolnicze i przemysłowo-rolne. W oparciu o te fortuny rozwijały się liczne instytucje kulturalne, a wiele domów wiejskich było prawdziwymi muzeami. Wydawało się, że te wszystkie ofiary okupią cel: utrwalią linię graniczną, zakreślaną w r. 1920 w Rydze nie według zasięgu oręża polskiego, lecz znacznie skromniej. Polska roku 1772, bez lennej Kurlandii liczyła 733.500 km². Polska Odrodzona w r. 1939 — 389.720 km².

Wydawało się, że wyzbycie się „mrzonek federacyjnych“ oczyści atmosferę i pozwoli na realną pracę w Rzeczypospolitej okrojonej, lecz opartej o solidne podstawy. Wydawało się, że jeśli sami dobrowolnie się wyrzekamy, to nie będą od nas już niczego chcieli. Stało się inaczej...

Myśl o federacji polsko-litewsko-ukraińskiej nie była jedynym szerzej zakreślonym programem Rządu Narodowego. Szuka on sojuszników na zaniedbanym przez polityków polskich od XVI wieku szlaku Północ-Południe. Agencja Rządu Narodowego w Sztokholmie jest jednym z największych przedstawicielstw zagranicą. Bardzo aktywną jest również agencja w Sztambule. Ale szczególnie ciekawym jest traktat pomiędzy Rządem Narodowym Polskim a Komitetem Węgierskim, podpisany z ramienia polskiego przez Józefa Ordega, a ze strony Węgrów przez generała Jerzego Klapkę w dniu 8 marca 1864 r.

Rząd Narodowy liczył dużo na współdziałanie Węgrów w okresie, gdy rozszerzenie działalności powstańczej i przeciwko Austrii wydawało się nieuchronne. Z narodów monarchii naddunajskiej Węgrzy byli jedynymi, skłonni do czynnego współdziałania. Czesi, zajęci flirtem z Moskwą w ramach jej projektów pansłowiańskich, nie chcieli słyszeć o jakiegokolwiek wspólnej akcji.

Traktat polsko-węgierski z r. 1864 przewidywał w pierwszym artykule „wspólną walkę przeciwko wrogom, pomoc lojalną, braterską, sojusz zupełny i nieprzymiowanie żadnych propozycji ze strony Austrii czy Rosji, aż do chwili oswobodzenia obydwu narodów“. Przewidziana została wspólna akcja zbrojna.

Na szczególną uwagę zasługują jednak dalsze artykuły traktatu, mianowicie czwarty i piąty. Artykuły, umieszczone widac na żądanie strony polskiej, przewidują, iż „Węgry zapewnią przez odpowiednie „ustawy organizacyjne“ (był to wówczas termin modny dla oznaczania samorządu) „wszystkim Słowianom, zamieszkującym terytorium Węgier, możliwość korzystania ze wszystkich swobód obywatelskich, politycznych i religijnych oraz swobodny rozwój ich narodowości“ oraz, iż „Węgry zobowiązują się nie przeszkadzać nigdy w autonomii i wolnej woli ludu chorwackiego, w razie gdyby chciał nawiązać węzły federacji z Węgrami, czy też w razie gdyby chciał stworzyć państwo odrębne i niepodległe. Polska ze swej strony, nie przesądzając, jakie będą umowy między Węgrami a Chorwacją, będzie się starała utrzymać między nimi harmonię braterską, która leży w interesie ich obydwóch“.

Słowanie, o których mowa w artykule czwartym traktatu, to przede wszystkim Słowacy. Jest dowodem dużego zmysłu politycznego przedstawicieli polityki polskiej tej epoki, że dążąc do porozumienia z Węgrami, starają się równocześnie zabezpieczyć prawa Słowaków, którzy mogliby się czuć zagrożeni i zmargaryzowani tym układem polsko-węgierskim. Był to chyba jeden z pierwszych aktów politycznych, który zajmował się prawami Słowaków.

Artykuł piąty, poświęcony Chorwacji, ma również swoją wymowę. Polska nie zapomina w nim o narodzie, który na kilkanaście zaledwie lat przed powstaniem w epoce Wiosny Ludów tak nieszcześliwą odegrał rolę, dając się wygrywać przez Austriaków dla stłumienia rewolucji węgierskiej, czy ruchów wolnościowych wólkich.

Dzisiaj, w okresie dyskusji na tematy federacyjne, w czasie gdy różne wspólne dla wszystkich państw między Niemcami a Rosją niedole każą im szukać nowych dróg, — ten dokument polityczny, widomy akt zbliżenia czterech narodów katolickich, przywiązanych do tradycji Europy Środkowej, — nabiera specjalnej wymowy.

Amerykańskie plany powojennego porządku świata

W sierpniowym zeszycie „The Contemporary Review“ dr Norman Bentwich pisze o „amerykańskim podejściu do pokoju“ („The American Approach to the Peace“).

Amerykanie, pisze autor, mają świadomość swej odpowiedzialności za nowy, powojenny porządek w świecie, istnieje też u nich jakby poczucie winy za to, że się wycofali z organizacji międzynarodowych po pierwszej wojnie światowej. Stąd rozpowszechnione przekonanie, że obowiązkiem demokracji amerykańskich jest zapewnienie innym narodom korzystania z wolności. Ameryka jest zdania, iż winna być ustanowiona światowa kontrola nad taryfami, walutami i reglamentacją handlową, nad dostepem do rynków i surowców i nad migracją ludności — o ile wolność od strachu i niedostatku ma się stać rzeczywistością: „Lekarstwem na wojnę totalną jest totalny pokój, a organizacja świata winna zmierzać ku bezpieczeństwu i sprawiedliwości wszystkich ras i narodów“.

W Ameryce obudziła się ostatnio niechęć przeciwko t. zw. kolonializmowi. Popularne jest tam hasło zapewnienia wszystkim podległym ludom wolności, ewentualnie tam, gdzie to jest niemożliwe, stworzenia kontroli międzynarodowej. „Zniesienie imperializmu i systemu kolonialnego,

choć nie jest wymienione w Karcie Atlantycznej, prawdopodobnie zajmie tak wybitne miejsce w programach Drugiej Wojny Światowej, jakie zniesienie militarystyki i obrona samostanowienia narodów zajmowały w amerykańskich programach pokojowych Pierwszej Wojny Światowej“ — pisze autor.

Jako przykład amerykańskich sformułowań programowych przytoczono tu „tymczasowe załączenia“ w sprawie zagadnień powojennych, przyjęte przez Międzyamerykański Komitet Prawniczy, utworzony w r. 1942 przez Panamerykańską Konferencję. Dokument ten zawiera krytykę polityki wielkich mocarstw, która nie potrafiła nagiąć się do ducha statutu Ligi Narodów, dalej krytykę imperializmu oraz politycznego i ekonomicznego imperializmu i nacjonalizmu, które nie dopuszczały do skutecznego współdziałania międzynarodowego. Komitet stwierdza, że „żaden naród nie może sobie rościć prawa do wywierania sobie samemu sprawiedliwości i do dochodzenia swych roszczeń za pomocą siły“. Komitet przestrzega też przed tendencjami do izolacji amerykańskiej. Państwa amerykańskie powinny należeć do zorganizowanej wspólnoty narodów, w której powinno się znaleźć miejsce dla grup regionalnych.

ZYGUNT KOTOWICZ.

SZALA IDEALNYCH WARTOŚCI

I

O obecnej wojnie dużo już napisano. Roztrząsano związane z nią zagadnienia militarne, ekonomiczne, kwestie prawne, a przede wszystkim bardzo szeroko omawiano problemy polityczne. Najmniej jednak stosunkowo poświęcono uwagi wartościom idealnym, które nie w mniejszym stopniu zostały rzucone no szalę wojenną.

Politycy, publicyści oraz szereg osobistości z innych dziedzin pracy wspominali często o tych wartościach. Mówili o bohaterstwie, o poświęceniu, o ofiarach ponoszonych przez jednostki i całe narody, lecz mało kto usiłował podsumować wszystkie te wartości idealne, które zostały rzucone na szalę w czasie obecnie toczącej się wojny. Dużo częściej natomiast można było obserwować zjawisko wręcz odwrotne — sceptyczne ocenianie tych wartości.

Bo i jakże, zdawałoby się, można inaczej oceniać te wszystkie idealistyczne odruchy, demonstrowane przez jednostki i narody. Dziś, gdy pozornie jedynym argumentem w rozmowach politycznych jest siła materialna: militarna i ekonomiczna, gdy główną dyskusję prowadzą armaty oraz motory czołgów i samolotów, gdy bezpośrednim celem każdej akcji jest zabicie przeciwnika lub zdobycie pokarmu — jakąż rolę mogą odgrywać ideały, głoszone ongiś przez religię, filozofów i wielkich nauczycieli ludzkości?

Świat od czasu do czasu, z okazji jakiegś rocznicy lub szukając argumentów dla pewnych racji politycznych, przypomina bohaterską obronę Warszawy, stoicyzm Anglików w czasie bombardowania Londynu, niezachwianą wierność żołnierza polskiego dla Ojczyzny, bohaterstwo jugosłowiańskich patriotów, lecz igrzeczki — każde prawie, słysząc o tych wszystkich pięknych rzeczach, jeżeli nie mówi na głos, to często myśli, że to są tylko frazesy. Ogólnie panuje przekonanie, iż o wszystkim decyduje wyłącznie potęga materialna: siła armii, wielkość produkcji przemysłowej, zasobność w surowce, posiadanie kapitałów i t. p.

A jednak tak nie jest.

II

Jeżeli przeanalizujemy wszystkie wypadki, zaśnię na przestrzeni ostatnich czterech i pół lat, to zobaczymy, że te idealne wartości niejednokrotnie zaważyły nie tylko na szalę losów jednostek, ale i całych narodów, przeważając szalę wartości materialnych.

W kwietniu 1939 r. kanclerz Rzeszy Niemieckiej wygłosił w Reichstagu przemówienie, w którym sformułował pod adresem Polski niemieckie żądania terytorialne. Jedynym uzasadnieniem tego żądania był „Lebensraum“ — materialna przestrzeń życiowa dla narodu niemieckiego; jedynym argumentem — siła materialna zmotoryzowanych dywizji niemieckich, skoncentrowanych nad granicą polską. W maju tegoż roku z trybuny sejmowej padła kategoryczna odmowa, wypowiedzenia ustami polskiego ministra spraw zagranicznych. Stanowczość tonu odmowy polskiej była równie silna, jak stanowczość żądania niemieckiego. Ale siła stanowiska polskiego nie bazowała się na sile materialnej państwa polskiego, lecz na sile prawa moralnego. Polski minister spraw zagranicznych uzasadnił niemieckie żądania przeciwstawiając argumentację: „W życiu ludzkim, narodów i państw jest tylko jedna rzecz bez ceny — jest nią honor“.

Było to sięgnięcie po najgłębsze wartości idealne i tym wartościom pozostał wierny cały naród polski, zarówno na szczytach Westerplatte, Helu i Modlina, jak w polu pod Kutnem i Kockiem lub w lasach Janowskich, jak wreszcie w walce na ulicach Warszawy i Lwowa. Wartościom tym naród polski pozostał wierny i wtedy, gdy bił się nadal na linii Maginot, pod Narvikiem i w Tobruku, jak pozostaje wierny walcząc z najeźdźcą w Kraju i nie wydając ani jednego Quislinga.

III

Ten polski zryw „uczeni w piśmie“ skłasyfikowali jako piękny przykład romantyzmu, którego Polacy mają być nadal niepoprawnymi wyznawcami. Z jakimże wobec tego bagażem wartości idealnych przystąpili do wojny sojusznicy polscy, Francja i Anglia?

Gdy 1 września 1939 r. ambasador amerykański Bullit zapytał premiera francuskiego Daladier, jakie będzie stanowisko Francji wobec zbrojnego ataku Niemiec na Polskę, Daladier odpowiedział, iż Francja będzie musiała dotrzymać zobowiązań wobec swojej sojusznicy Polski, w przeciwnym bowiem razie Republika Francuska ostatecznie straci w oczach Europy cały swój prestiż.

Jak widzimy więc bagaż wartości idealnych, z którym Francja weszła do walki, był bardzo ubogi i streszczał się jedynie do pojęcia „prestiżu“; ubogą też była siła oporu narodu francuskiego w czerwcu 1940 r., w czasie najazdu niemieckiego na Francję. Pojęcie honoru, zwięzione do materialnie wymiernego prestiżu, już zatraca swój ciężar bezwzględnej wartości idealnej i przestaje być samostanną siłą, mogącą przeciwstawiać się sile materialnej.

W tym samym czasie padły wraz z Francją Norwegia, Holandia i Belgia, które uderzone znielacka nie zdążyły zademonstrować światu swych prawdziwych haseł narodowych.

IV

Dn. 3 września 1939 r. w wojnie z Niemcami znalazła się również i Wielka Brytania. Do wojny tej Anglia przystąpiła w wykonaniu paktu o wzajemnej pomocy z Polską, podpisanego 25 sierpnia 1939 r. Sceptycy ocenili ten akt brytyjski jako nowe posunięcie polityczne „fałszywego Albionu“, szukającego obrońców dla swych „interesów imperialnych“, i uważali to za jedyny i wyłączny powód wypowiedzenia Niemcom wojny przez Anglię. Według tej oceny żołnierz polski i francuski miał Imperium Brytyjskie obronić przed najeźdźcą ze strony hitlerowskich Niemiec zagładą.

Gdy jednak padła Polska, a wkrótce potem Francja, gdy armie niemieckie usadowiły się na wybrzeżach Belgii, Holandii i Norwegii na pozycjach wyjściowych do ataku na Anglię, zdawało się, że jedyną angielską „racją stanu“ będzie podjęcie przetargów politycznych z Niemcami, aby uratować ze swego Imperium to, co „było jeszcze do uratowania“. Anglia jednak wybrała, zdawałoby się, beznadziejną walkę. Ci, którzy z ołówkiem w ręku obliczali realistycznie, na chłodno „szanse“ stron, każdorazowo dochodzili do wniosku, iż szanse brytyjskie są mniej niż nikłe. Brzegowe wyspy miały bronić nieuzbrojona armia. „Home Grand“ pilnowała lotnisk, dróg i t. p. obiektów wojskowych, uzbrojona w myśliwskie strzelby i czołpiskie widły. W powietrzu ostatnim wysiłkiem, ostatnim tchem walczyła garść brytyjskich i polskich pilotów z potężną niemiecką „Luftwaffe“. Po morzu Północnym tulała się pozbawiona osłony lotniczej dumna „Home Fleet“, szykująca się do masakry w cieśninie Kanału La Manche.

Wszyscy z zapartym oddechem potrzyli na te dramatyczną walkę, oczekując z dnia na dzień, z godziny na godzinę wieści, iż inwazyjna armia niemiecka zaczyna lądować na Wyspach Brytyjskich. Nawet Stany Zjednoczone, aczkolwiek sprzyjały Anglii, nie mogły w tym czasie przyjąć jej z pomocą zbrojną; wysyłały one jedynie sprzęt i zaopatrzenie, którego zresztą duża część szła na dno oceanu Atlantyckiego. Gdzież się więc rodził ten zawzięty upór Brytyjczyków?

Sceptycy próbowali objaśnić, iż ta postawa Anglików rodziła się z braku wyobraźni. Gdy jednak płonęły domy Londynu, gdy waliły się w gruzu hale fabryczne Coventry, gdy „Luftwaffe“ bezlitośnie bombardowała dworzec Yorku ze stojącymi tam pociągami osobowymi, wyobraźnia już była co najmniej zbędna — wojna swą oczywistą, bezwzględna rzeczywistością przemawiała do wszystkich mieszkańców Wysp Brytyjskich. A pomimo to każdy nowy świt witał premiera Wielkiej Brytanii przy biurku pracy na Downing Street, organizującego ostatnie zasoby Imperium dla tej pozornie beznadziejnej obrony; a w mgłę i dymach pożarów angielska para królewska snuła się wśród rumowisk, gruzów i zgłiszcz, mówiąc słowa otuchy swoim obywatelom. Wówczas korona brytyjska jaśniała większą wartością niż wartość brylantów i pereł, ją zdobowiących. I w tym wypadku decydującą się stała wartość idealna.

V

Dn. 12 października 1940 r. Włochy zaatakowały Grecję. Małe państewko potomków starożytnych Hellenów, pozostawione sam na sam w rozprawie z nowym imperium rzymskim, dysponującym olbrzymią armią, potężną flotą i dużymi zasobami do prowadzenia wojny — powinno było paść w ciągu dwóch tygodni. Tymczasem stało się coś najmniej oczekiwanego: nie tylko że Grecja nie padła,

ale, naodwrot, armie włoskie zaczęły się cofać, bite przez Greków. Olbrzymiej włoskiej machinie wojennej zabrakło jednej rzeczy — tej jakiegś siły atrakcyjnej, bez której cała wielka machina wojenna staje się martwą i niezdolną do akcji. Grecy przeciwstawili włoskim wartościom materialnym, czołgom i samolotom, wartości idealne — miłość ojczyzny, dumę narodową, przywiązanie do wolności oraz ofiarności i samozaparcie się w tej walce całego narodu. A gdy przyszła druga machina wojenna — niemiecka, to przetoczyła się tylko przez naród grecki, ale karków jego nie ugłębia.

VI

Na początku 1941 r. mogliśmy z kolei obserwować najbardziej może charakterystyczny przykład, jak ważyły się szale wartości materialnych i wartości idealnych.

Rozpoczęła się nacisk niemiecki na Jugosławię. Hitler przedkłada regentowi, ks. Pawłowi, do podpisu „pakt niemiecko-jugosłowiański“, przy czym nie dopuszcza żadnej dyskusji: albo podpis pod paktem, albo... Przypomina ks. Pawłowi, iż Jugosławia jest zewsząd, od strony Austrii, Węgier, Rumunii, Bułgarii i Albanii otoczona przez wojska „osi“, a na morzu Adriatykiem panuje flota włoska. Anglia natomiast nie może przyjąć z pomocą. Siła materialna argumentów jest drugocząca. Ks. Paweł ustępuje i kładzie swój podpis. Jednak naród jugosłowiański nie chce się ugiąć pod tym naciskiem materialnym. Dn. 27 marca wybucha rewolucja. Dn. 6 kwietnia Niemcy uderzają na Jugosławię, aby do dzisiejszego dnia trwać w ciągłej walce z tym narodem, którego nie może ujarzmić potęga militarna Niemiec.

W drugiej połowie tegoż roku zaczyna się całkiem nowy akt tego wielkiego dramatu światowego. Oto dwie wielkie siły materialne, które już przedtem wyszły ze swych granic państwowych i zetknęły się na linii demarkacyjnej na ziemiach Polski, zezepiły się ze sobą w śmiertelnych zapasach. Rozpoczęła się wojna niemiecko-sowiecka. Obraz z układu sił zaciemnia się. Wartości idealne zdają się obecnie już nie odgrywać roli. Wartościom materialnym hitleryzmu i imperializmu niemieckiego przeciwstawił się w zapasach wojennych materialistyczny światopogląd Moskwy.

VII

I oto w tym momencie, w dniu 14 sierpnia 1941 r., zostaje spisana wielka Karta Atlantyczna wartości idealnych, którym postanawiają służyć dwie największe potęgi materialne Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. W tej wielkiej karcie czytamy, iż kraje te nie wysuwają żadnych żądań terytorialnych i nie zamierzają mieszać się do spraw wewnętrznych narodów, miłujących pokój, że pragną one, aby panowało prawo, wzajemne poszanowanie i równe traktowanie pomiędzy narodami tak wielkimi, jak i małymi, że chcą one zapewnić całej ludzkości nie wolność, pojętą abstrakcyjnie, lecz jej konkretne wartości: wolność od tyranii, od okropności wojny, od niedostatku i głodu oraz wolność obywatelską. Głównym natomiast celem Karty Atlantycznej ma być zapewnienie narodom i jednostkom warunków rozwoju i dalszej ewolucji.

Znaczenie, jakie posiada podkreślenie w tym momencie tych wszystkich wartości idealnych, jest tym większe, jeżeli uprzytomnimy, iż jednym z dwóch autorów tej karty były Stany Zjednoczone, które wówczas nie potrzebowały kierować się jedynie potrzebami chwili. W kilka miesięcy potem Stany Zjednoczone, zaatakowane przez Japonię, podjęły broń, aby bronić tych ideałów.

VIII

Jeszcze raz powróćmy do przykładu Włoch. Wieść o kapitulacji nowego imperium rzymskiego opinia publiczna przyjęła z licznymi ironicznymi uwagami na temat „kompromitującej“ bezwarunkowej kapitulacji rządu włoskiego. Czy nie było to jednak uprzedzeniem głębszego w swej wymowie zjawiska politycznego? Flota włoska nie została zatopiona przez swoje załogi, jak to się stało z niemiecką flotą wojenną pod koniec poprzedniej wojny światowej, lub z flotą francuską po zajęciu Tuluzy przez Niemców. Nadwrot — flota włoska wypłynęła ze swych baz, aby zawinąć do portów niedawnych swych wrogów na Malcie i w Aleksandrii.

To nie była tylko kapitulacja — to była wroga demonstracja przeciwko narzuconej Włochom szalenstwu jednego człowieka i skupionej wokół niego klikki drogi politycznej, niezgodnej z charakterem tego narodu. Przecież czytaliśmy niedawno, że w portach włoskich zostały zatopione przez własne załogi piękne transatlantyki „Rex“ i „Conte de Savoya“, natomiast trzeci „Saturnia“, któremu udało się uciec od Niemców, wpłynął nieuszkodzony do jednego z portów południowo-włoskich znajdujących się w rękach alianckich. Ostatnie komunikaty doniosły też o tym, że ta sama flota włoska, która nie opuszczała swych portów, unikając od dłuższego czasu walki z aliantami, dziś zaczęła z nimi współpracę, podejmując walkę przeciwko Niemcom.

IX

Każdemu jednak nasuwają się tu dalsze myśli. Tak, te idealne wartości, możliwe że odgrywają dużą rolę w zmaganiach wojennych, ale jakie wartości zadecydują o ostatecznym wyniku wojny i o obliczu świata powojennego. A przecież to jest najważniejsze. Tymczasem już dziś, gdy tylko stało się jasnym, że zwycięstwo będzie po stronie Aliantów — rozlegają się głosy mocno niepokojące. Wystarczy tu przytoczyć artykuł, ogłoszony w „Timesie“, 10 marca b.r., zalecający podział świata powojennego pomiędzy możnych tego świata, zasobnych w dobra materialne, jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka, oraz sprowadzenie innych państw i narodów do roli podrzędnej.

Na to istnieje przede wszystkim odpowiedź o charakterze ogólnym: tak jak nie należy nie doceniać niebezpieczeństwa, tak również nie należy go przeceniać. Krew, przelana w poprzedniej wojnie światowej, w dużej mierze poszła na marne, a prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson wraz ze swymi projektami lepszego świata został uznany za utopijnego marzyciela i był zdezawuowany przez własny parlament amerykański. Ale z drugiej strony tak Aeglia, jak i Ameryka, na własnej skórze przekonały się, jak okazały się bolesnymi błędy, popełnione właśnie przez najbardziej „trzeźwych i realistycznych“ polityków, obradujących w Wersalu.

Dzisiaj wartości idealnych broni już nie tylko prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt wraz z najbliższymi swymi współpracownikami. W Anglii ster rządu trzyma w swych mocnych dłońach człowiek, który na wiele lat przed wojną z całym temperamentem zwalczał „trzeźwych polityków“, powodujących się wyłącznie „realizmem politycznym“, którzy właśnie okazali się najbardziej nierealnymi. Ucieleśnieniem zaś wartości idealnych, realizowanych w polityce, jest jeden z czołowych przedstawicieli Common Wealth'u brytyjskiego, premier południowo-afrykański, marsz. Smuts. Na kontynencie Azjatyckim zaś, tym który ogrom tych wartości wydobyl z uspiętego narodu chińskiego, krzyżując obliczone z dokładną materialistyczną ścisłością plany imperialistów japońskich, jest marsz. Ciang-Kai-Szek.

Dojrzały już do pełni świadomości politycznej również i narody mniejsze i trudno je będzie przekonywać wyłącznie przy pomocy materialistycznych argumentów siły. Najlepszym przykładem tego jest ostra reakcja prasy krajów neutralnych na wyżej wspomniany artykuł „Times'a“, w rezultacie której „Times“ zaczął już częściowo wycofywać się z zajętą poprzednio stanowiska. 29 lipca b.r. w piśmie tym ukazał się z kolei artykuł p.t. „Uzgodniona polityka“, gdzie teza podziału Europy na strefy wpływów: brytyjską i sowiecką, została zamieniona na tezę współpracy tych państw w Europie bez dzielenia się nią.

W świetle tej ewolucji pojęć politycznych takie określenia, jak nazwanie przez prez. Roosevelta Polski „natchnieniem narodów“, lub wyrażenie się pórnurzędowego dziennika tureckiego „Tan“, że Polska jest „symbolem wolności“, nie są już tylko pięknymi frazesami, lecz wyrażają głęboką treść. Oczywiście, wszyscy ci, którzy hołdują materialistycznemu pojmowaniu świata, jeszcze nie jedną walkę podejmą przeciwko idealistycznej treści, która zaczyna przenikać w życie polityczne. Nie jeden też atak będzie wymierzony przeciw Polsce, jako wyrazicielce tych wartości idealnych w życiu politycznym.

Lecz to idealistycznym pojmowaniem dziejów musi ostatecznie zwyciężyć, gdyż w przeciwnym razie jeszcze w krótszym czasie przyjdzie trzecia wojna światowa. A ta już byłaby samobójstwem całej ludzkości.

TADEUSZ SOWICKI

MIRANDA DE EBRO

Mincho, Duero, Tajo, Gwadiana i Guadalquivir —
Tak nas uczono w szkołach, gdy jeszcze byliśmy żywi.

Mincho, Duero, Tajo. Arriba España. Dnieje.
Powstań, a słowa niech trafią w twój Madryt i Pireneje.

Gwadiano — rzeko szeroka... srebro, na wodzie srebro...
Słyszysz? poznajesz po krokach wartość z Miranda de Ebro?

Poznajesz? — to nie są kroki twoich zdobywczych pochodów.
To jeszcze z dziejów pomroki wiek średni wywodzi rodowód.

Co noc wychodzisz na Corso Sewillą i Toledo.
Co noc gitarą podniecisz, słoczoną alamedą.

Co dnia otwierasz oczy, Hiszpanio, patrzysz dumnie,
Co dnia zamyka się wieko, nie wiesz, na czyjej trumnie.

Mincho, Duero, Tajo — dla ciebie słońce i srebro,
Pokój dla ciebie, Hiszpanio. Dla nas — Miranda de Ebro.



MASZYNY BIUROWE

Reparacje — Wszelkie artykuły biurowe —
Pieczętki — Polskie czołki do maszyn do pisania

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON
TEL-AVIV, ul. Herzia 13 Tel. 2623

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

LISTY Z PERSJI

Kryzys przyjaźni

Porę dni temu, 26 sierpnia, niektóre dzienniki teherańskie zamieszczyły wzmianki i artykuły, poświęcone wspomnieniu „wypadków 3 Szachriwara”. Nazwa „wypadki 3 Szachriwara” tak się już utarła w Iranie, że używają jej zarówno Persowie, jak i cudzoziemcy. Określa się tym wkroczenie wojsk angielskich i sowieckich do Iranu celem zapewnienia sobie otwartej drogi dostaw wojennych do ZSRR, w końcu sierpnia 1941 r. Jakże inaczej Iran wtedy wyglądał, niż dziś. W brudnym gmachu Poselstwa Rzeszy przy ul. Ferdowsi urzędował p. Ervin v. Ettel, na którego barkach spoczywała odpowiedzialność za wywołanie ruchów dywersyjnych w krajach Środkowego Wschodu, tym istotnym „środku” Imperium Brytyjskiego. Koła brytyjskie nie były, rzecz jasna, zachwycone tym stanem rzeczy, jednak Anglicy odznaczają się cierpliwością, trwającą do czasu istotnego zagrożenia ich interesów. Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej stało się oczywiste, że Iran stanie się głównym krajem tranzytowym, łączącym Rosję z aliantami. Wypadki, jak się okazało, potoczyły się szybko: Rząd Brytyjski zażądał od Iranu w sierpniu 1941: a) przepuszczenia materiałów wojennych do Rosji, b) zerwania stosunków z Osią, c) internowania lub wysiedlenia do Rzeszy obywateli niemieckich, stosownie do podanej listy 2000 nazwisk. Ostatni punkt był szczególnie ważny, gdyż należało działać szybko: Niemcy bowiem byli wszędzie, w Teheranie, na prowincji, przy budowie dróg i mostów, na ważnych węzłach kolejowych i w niektórych urzędach. Stanowili zwartą organizację V kolumny, szkolonych nie tylko w celach sabotażowo-dywersyjnych, ale i bojowo. — Propozycja angielska spotkała się jednak z oporem Szacha Rezy Pahlevi. Wtedy to Anglicy postanowili szybko zareagować: 26 sierpnia wojska brytyjskie wkroczyły do Iranu od strony Iraku, wojska zaś sowieckie od północy. Opór stawiany przez armię irańską nie był duży, w niektórych wypadkach oporu nie było wcale. W 22 dni później wojskowa okupacja Iranu stała się faktem dokonany. Iran został podzielony na strefę okupacji sowieckiej — prowincje Chorassan, Astrabad, Gilan, Mazandaran, Azerbejdżan, angielskiej — prowincje Luristan, Khuzistan, Ispahan, Fars, Beludżystan, oraz na strefę neutralną — miasto i okrag Teheran. Stary Szach Reza abdykował i został wysłany do Johannesburga, na jego miejsce wstąpił na tron młody Mohammed Reza, żonaty z ks. Fawzia, siostrą króla Egiptu Faruka. Stosunki dyplomatyczne z Osią zostały zerwane, zaś obywatel państw Osi bądź deportowani do granicy tureckiej, bądź internowani, bądź wreszcie — w wypadku licznych Niemców — rozprzeżli się w niewiadomym kierunku, jedni ukrywając się w samym Iranie, inni obierając sobie siedzibę w Afganistanie. W pewien czas później formalny układ anglo-persko-sowiecki ustalili de jure dotychczasowy stan rzeczy, przy tym Iran został w tym układzie nazwany aliantem. Układ potwierdził nienaruszalność irańskich instytucji państwowych, „neutralność” strefy teherańskiej i gwarantował ewakuację wojsk alianckich po zakończeniu działań wojennych. W Teheranie pojawiły się mundury angielskie, amerykańskie i sowieckie, a później także i polskie. Gmach i interesy niemieckie zostały przejęte przez poselstwo szwedzkie. Niemcy stali się tylko wspomnieniem. Architektura domów, niejednokrotnie wielkich gmachów (np. sufit dworca kolejowego ułożony we wzór swastyki), emblemy stylizowanego Ormuzda na podobieństwo orła III Rzeszy (np. nad portalem Banku Narodowego Mellii), żarówki Osram i liczne aparaty elektryczne Siemens, jak również złotowłose blondynki reklam fotograficznych Agfa, wszystko to świadczyło o jeszcze niedawnej obecności kupca, dyplomaty czy agenta niemieckiego. Zostało jednak coś więcej. Został pewien posiew w duszach wielu Irańczyków, którym, jako ludziom Wschodu zawsze imponowała siła, którzy na Niemców patrzyli bądź przez filtr wspomnień ze studiów odbywanych w Berlinie, Sztutgarcie czy Oldenburgu, bądź jako na dalekich, lecz mocnych sojuszników. Pewnego razu, przypominam sobie, byłem gościem wraz z teherańskim korespondentem Associated Press w pewnym znajomym domu perskim, znanym ze swego filo-angielskiego nastawienia. Pani domu mówiła biele po angielsku i poinformowała mnie, że ma obecnie wieczny powód do żartów: oto jeden z jej młodych synów jest w Niemczech, gdzie go wojna zaskoczyła na studiach. Od szeregu miesięcy już nie ma wiadomości o świadomości, że syn znajduje się w Niemczech, nie jest przyjemna. W tym punkcie naszej rozmowy wpadł do pokoju mały rasowy piesek i z entuzjazmem ucałował się mojej nogi. Wywołało to nietajoną wesołość mojego amerykańskiego towarzysza, który zawołał: — Niech Pan mu powie „Heil Hitler”. — Niewiele myśląc, krzyknąłem w stronę kudłatego gościa „Heil Hitler”, na co piesek posłusznie stanął na tylnych łapach, czekając dalszych rozkazów. Pani domu była widocznie skonsternowana i szybko pojechała udawać skąd jej „pet” zna język teutoński. Jej wywody zostały jednak przerwane przez korespondenta,

który powiedział: — Widzi Pan, oto co się przyjaźni. Nastąpił kryzys przyjaźni i zaufania. Lekcja z poprzedniej wojny powtarza się z zadziwiającą dokładnością. Mit Ormuzda połączonego ze swastyką okazuje się tak samo mitem, jak obietnice księcia Reussa i Wassmussa w roku 1915.

Fraki i pustynia

Dnia 9 września Iran wypowiedział wojnę państwu Osi, zgłaszając swój akces do Deklaracji Zjednoczonych Narodów.

W parę dni później premier irański Ali Soheili przyjął na konferencji prasowej dziennikarzy i długo do nich przemawiał, uzasadniając nowy krok rządu. Dla wyjaśnienia trzeba dodać, że wypowiedzenie wojny nastąpiło wkrótce po nadejściu wiadomości o lądowaniu Sprzymierzonych na półwyspie Apenińskim. Nie trzeba więc nawet być bardzo złośliwym, by zestawieć te obie daty i wysnuć dalsze wnioski. Nie wszyscy jednak posiadają poczucie humoru. Tym więc pewnie da się wytłumaczyć stałe podkreślanie zarówno ze strony czynników oficjalnych perskich, jak i prasy, iż Iran przez wypowiedzenie wojny stał się uprawniony do wzięcia udziału w konferencji pokojowej i korzystania ze wszelkich beneficjów, stąd wypływających. Znalazł się jednak człowiek, który poczuł pewną dysproporcję między czynami a faktami i postanowił: „mettre les choses au point”. Był nim sam Szach. Korzystając z okazji wywiadu, o jaki go poprosił p. John Wallis, korespondent Reutersa, monarcha dał wyraz temu, co myśli o rzeczywistości i co niej powinni myśleć inni. — Gdy Iran podpisał umowę przymierza z Anglią i Rosją, — mówił Szach, — od razu byłem zdania, że trzeba wypowiedzieć wojnę Osi. Jednakże moi ministrowie byli innego zdania ze względu na sytuację wewnętrzną. Niektóre dzienniki wyraziły opinię, że wypowiedzenie

wojny nastąpiło za późno, jednakże w rzeczywistości Iran jest w stanie wojny z Niemcami od r. 1942. Jeżeli dziś Rosja odnosi tak świetne zwycięstwa, część zasługi jest nasza, ponieważ zrobiliśmy, co jest w naszej mocy, by wysłać broń do Rosji. — Nie można odmówić tej wypowiedzi Szacha jedności i godności.

— Szkoda, że ci panowie z Teheranu, ubrani w uroczyste fraki, nie pofatygują się czasem na prowincję, w okolice pól naftowych, by się z bliską rzeczywistością przyjrzeć — takich mniej więcej słów użył w liście do swej matki porucznik Wilson (późniejszy Sir Arnold Wilson) w roku 1908. Por. Wilson był dowódcą małego oddziału indyjskiego Sikh, który miał za zadanie chronienie prac wiertniczych, dokonywanych przez Anglo-Persian Oil Company na podstawie świeżo uzyskanej koncesji d'Arcy'ego.

Wilson pisywał wiele listów do matki i we wszystkich poruszał bardzo przyziemne sprawy. Pisał o higienie diety daktylowo-ryżowej, jaką stosował wbrew przesądowi kanadyjskich wiertaczy, żyjących na konserwowym mięsie. Opowiadał o tym, jak przejechał konno w jeden dzień przestrzeń, dzielącą Maszib-es-Sulejman, gdzie wiercono naftę, od odległego o blisko 100 mil Ahwazu. Opisywał swoją żmudną pracę kartograficzną, jakiej dokonywał dla Intelligence Branch w Silma, swe polowania, swe zbiory ornitologiczne i numizmatyczne, które przesyłał w darze do muzeum w Kalkucie.

Sporo miejsca poświęcał także charakterystyce swych bliźnich, przy tym cechował go respekt, tak typowy dla Anglika, dla ludzi starszych i doświadczonych, np. dla inżyniera Reynoldsa, kierownika robót wiertniczych, kapitana Lorimera, wicekonsula w Ahwazie i innych.

Wyżej przytoczone zdanie Wilsona daje lapidarną syntezę rzeczywistości i problemów perskich. Szkoda, że ci panowie tu nie przyjadą... tak, gdyż Teheran i jego „wielka polityka”, to jakby nadbudówka nad gmachem starym i niezmiennym. Nadbudówkę można zmienić, można podpisywać i rozdzierać traktaty, można wypowiadać wojnę lub nie, — w rzeczywistości nie wiele się zmienia. Albowiem problemy perskie są równie stare jak... sama nafta perska. Jeżeli nie starsze. Przed rokiem 1908, kiedy to wytrysnął ku radości Wilsona i Reynoldsa pierwszy strumień ropy w Maszib-es-Sulejman, Persja grała rolę przedpola dla Indii. Wprawdzie Foreign Office wysyłała swych dyplomatów do Teheranu, jednak reszta pracy przypadała na różne departamenty Government of India. Młodzi oficerowie z Armii Indyjskiej uprawiali turystykę po kraju Lwa i Słońca, nie rozstawając się z mapami, na których wiele jeszcze było białych plam. Powoli te plamy się zaciemniały splotem pagórków, oaz i dolin, jednak rzeczy te były znane tylko w Silma, gdyż w Londynie w witrynach księgarń mapy te nadal świeciły pustkami. Siłowici konsulowie brytyjscy z Busziru nad Zatoką Perską, Mohamery (dzisiejszego Khorramszar) lub Ahwazu nie mieli wspólnego z typem salonowego dyplomaty wielkich stolic. Byli to ludzie o twarzach spalonych słońcem i wichrem, bo jakżeby mogło być inaczej z oficerami, mającymi za sobą chlubne karty służby w pustyniach Beludżystanu i rejonach słynnej North Western Frontier. Tam przecież wykrywano w wiecznej wojnie podjazdowej, toczącej się nawet w okresach pokoju światowego, charakterystyki i cnoty przyszłych budowniczych i administratorów Imperium. Political Department Rządu Indyjskiego tak samo się interesował Persją i Afganistanem, a nawet Arabią, jak dowódca kompanii interesuje się placówką lub czujką. I pewne rzeczy musiały być wykonane, wszystko jedno, czy tak, czy inaczej powie, „panowie z Teheranu”, gdyż niektóre reguły „zachowania się w polu” są niezmiennie.

Od roku 1908 przybył nowy element: nafta. Od tej chwili los państwa perskiego stał się ściśle związany z tą płynną, łatwowapną masą. Powstały nowe zagadnienia bezpieczeństwa i nowe problemy dyplomacji. Ale i tym razem, jak i poprzednio, istotną, rzeczywistą dyplomację uprawiali urzędnicy polityczni i konsulowie, przysłani z Indii, którzy władając wieloma narzeczami Persji i znając na wylot stosunki miejscowe, negocjowali kupno terenów pod rurociąg lub rafinerię, zawierali pokój i umowy o wzajemnej pomocy z chanami plemienia Bachtiarów lub z wojowniczymi szekami Arabistanu. Skromni porucznicy, jak Wilson, tak głęboko wnikał w kraj i ludzi, że stawali się niezbędni, obejmując z kolei stanowiska konsułów lub rezydentów.

Wiele lat upłynęło od chwili pierwszego wytrysku ropy na pustyni bachtiańskiej. Przeszła wojna światowa, przeszły przez kraj wojna rosyjskie, tureckie i angielskie, zaślizgnięte epizody romantycznych wypraw gen. Dunster-ville, zdobywcy Baku, i Sir Percy Sykes'a, minął dyktatorski reżim Szacha Rezy Pahlevi, przyszedł druga wojna światowa i podwójna okupacja Iranu. Zmieniło się wiele postaci i rządów. A jednak tak samo, jak przed 30 laty, na południu Iranu urzędują konsulowie brytyjscy, przysłani z Indii. I tak samo przetrwała pustynia naftodajny rurociąg.

BRYTYJSKI ROCZNIK POLITYCZNY

The Statesman's Year-Book. Statistical and Historical Annual of the States of the World for the Year 1943. Edited by M. Epstein. Mac Millan & Co. Ltd. Londyn, 1943. Str. XXXII, 1469, 2 mapy.

Był rok 1863. Rok ten znaczył dla Anglii co innego, niż dla nas. Świetny okres wiktoriański nie dobiegał jeszcze połowy swego trwania. Brytania rządziła falami mórz całego świata, a Brytanią rządził świetny triumwirat, jednoczący największe imiona liberalizmu angielskiego — wielkiego orędownika Włoch i Grecji, Henry John Temple Palmerstona, jego przyjaciela, starego wodza whigów, Johna Russella, i przyszłego ich hetmana, Williama Ewarta Gladstone'a. Nad gabinetem liberalnym wisiał już drażliwy cień Benjaminia Disraeliego, przyszłego lorda Beaconsfielda, tego wodza konserwatystów, który Anglię pchnie na tory demokracji. W Ameryce szalała wojna Północy z Południem, w Polsce bili się po lasach romantyczni szaleńcy, ale w Anglii po zwycięskiej wojnie Krymskiej, po zduszeniu, buntu Sipajów, podatek dochodowy znów wynosił wszystkiego 9 pensów od funta, Manchester pracował pełną parą (o „czarnych latach” zapomniano szybko), a zwycięstwo liberalizmu gospodarczego świat otwierał przed kupcem angielskim.

Anglik był (i potrosze jest) świecie przekonany, że poza Anglią — nie ma wiele godnego widzenia, ale obowiązkiem ekspansji handlowej zmuszał go do baczności przyglądania się światu. Wiedział o tym i doktor heidelbergi Fryderyk Martin, sekretarz wielkiego Carlyle'a, któremu pomagał w zgłębianiu historiografii niemieckiej. Dr. Martin wydawał wówczas tygodnik „The Statesman” i właśnie w związku z tym krótkotrwałym wydawnictwem uświadomił sobie konieczność stworzenia dzieła podręcznego dla czytelników prasy politycznej.

W ten sposób ukazał się „Statesman's Year-Book. Statistical and Historical Annual of the States of the World for the Year 1863”. Nie był to pomysł nowy. Od czasów Francesco Sansovino i jego „Del Governo et Amministrazione di diversi Regni e Repubbliche” (O rządach i administracji różnych królestw i republik, Wenecja 1583), wiele już podobnych dzieł wydawano. W wieku XVIII. Duńczyk Ancheren wprowadził nowy typ dzieł, „statystycznych”, — albowiem wówczas statystyka nauką o państwach oznaczała, — a mianowicie tabularyczne opisy statystyczne poszczególnych państw („Descriptio statuum in tabulis” 1741). „Statesman's Year-Book” szczegółowo pogodzi materiał opisowy i statystyczny, dając całościowy obraz polityczny i administracyjny, demograficzny i gospodarczy, a nawet częściowo kulturalny każdej jednostki państwowej. Rzecz prosta, ujęcie zagadnień gospodarczych i kulturalnych jest przeważnie statystyczne, nie opisowe, uwzględnia więc dane rzeczowe, obiekty i instytucje, nie zagłębiając się w krytykę ni ocenę danych, nie usiłując dać syntez stanów społecznych. W opisie politycznym rocznik opiera się zawsze na stanie formalno-prawnym, szerokie jednak uwzględnienie momentów historycznych pozwala czytelnikowi na uświadomienie sobie bądź to genezy tego stanu, bądź stanu faktycznego, jeżeli jest on odmienny od formalnego. Dużą wadą jest słabe uwzględnienie elementów polityki międzynarodowej poszczególnych państw (traktatów, przymierzy), o ile nie kształtują one ich ustroju wewnętrznego.

Pierwszy nakład „Statesman's Year-Book” spotkał się z takim uznaniem, że stał się on wydawnictwem ciągłym pod redakcją Martina. Więcej — stał się on pomocą w ręku każdego dyplomaty, każdego polityka, każdego dziennika

karza angielskiego. Nie rozstawali się z nim najwybitniejsi angielscy mężowie stanu.

W r. 1882 Martin, ciężko już chory, przekazał redakcję Janowi Scott Keltie, który ją prowadził przez lat z górą czterdzięci (1883—1926); od roku 1911 współpracował z nim, a od r. 1919 właściwie prowadził wydawnictwo Mortimer Epstein (ur. w r. 1880), wybitny historyk, statystyk, geograf i publicysta. Pod jego kierownictwem „Statesman's Year-Book” dożył roku obecnego, tj. 80-go swego rocznika, który wychodził w stulecie firmy Mac Millan. Od r. 1863 oddziela 80-ty rocznik „Statesman's Year-Book” cała epoka.

Epstein ogromnie rozbudował pracę wydawnictwa. Jednoosobowa redakcja stała się całym biurem specjalistów, starannie kompletujących dane o poszczególnych krajach. Zadanie to niełatwe, jeżeli wziąć pod uwagę, że „Statesman's Year-Book”, nie posuwając się do krytyki i analiz, dąży jednak do ścisłych i obiektywnych ujęć liczbowych. „Mówi się często: liczby rządzą światem. To jednak pewne, że liczby pokazują, jak on jest rządzony” — takie zdanie Goethego przyjęło wydawnictwo za swoje motto. Ale czas się zmienił. Statystyka służyła dawniej do beznamietnego stwierdzania faktów, dających się ująć ilościowo. Teraz statystyka — „statystyka totalitarna”, jak ją określają geopolitycy ze szkoły Haushoffera — stała się narzędziem walki, bronią defensywną lub ofensywną, której celem jest nie dokładność w obrazowaniu stanów rzeczywistych, lecz wywoływanie pewnych zamierzonych reakcji w opinii publicznej i akcji politycznej. Od wybuchu wojny trzeba było coraz więcej elementów dla charakterystyki poszczególnych państw, w których na skutek zdarzeń wojennych, uznany stan formalno-prawny sprzeczny jest ze stanem faktycznym. Trzeba było zwłaszcza rozszerzyć dane historyczne, obrazujące przejścia wojenne danego kraju, jego sytuację obecną i jego walkę o odzyskanie wolności.

Prawda, że względu na to, że „Statesman's Year-Book” wyszedł już od dawna poza granice Anglii i stał się książką podręczną, nieomal wyrocznią polityczną całego świata, musiał się on stać w znacznej mierze książką informacyjną o Anglii, a wraz ze wzrostem współpracy anglosko-amerykańskiej, również i o USA. Dział Imperium Brytyjskiego i jego Dominów wyrósł już od dawna do 30%, a USA do 15% objętości książki. Ale nawet w tych stosunkowo szczupłych granicach, jakie przypadały innym państwom, zawarte są charakterystyki wprost mistrzowskie w swej pełności i aktualności. Szczegółowe powiadawczy, mile nas tu zdziwiły stronic, Polski dotyczące. Literatura bowiem o Polsce w angielskich wydawnictwach informacyjnych ma już za sobą smutne tradycje takich choćby dziwolągów, jak roją się na stronicach „The Who's Who of the Allied Governments” (Londyn, Yoel Cang, 1942), lub takich antypolskich niedociągnięć, często podyktowanych przez nieświadome uleganie wpływom niemieckim, jak w pingwinowskim „ABC of International Affairs”.

Siedmiostronicowe charakterystyki Polski i jej spraw w ostatnich rocznikach „Statesman's Year-Book” dają świadectwo szczerzej przychylności jego redakcji. Może tylko chciałoby się choć wzmianki, że Rząd Polski, choć na wygnaniu, sprawuje przecież nadal władzę na terytorium Polski. Ale niedociągnięcie to wynagradza nam i rosnące zainteresowanie „Statesman's Year-Book” dla naszego wysiłku zbrojnego oraz — rzecz w tym wydawnictwie nader rzadka — wyraz uznania, przedzierające się poprzez jego oficjalny obiektywizm, a zawarte w skromnym, ale pełnym treści zdaniu: „Eskadry polskie, pracujące z RAF'em, odznaczyły się wybitnie”.

jn.

HERMINIA NAGLEROWA

MÓWIMY O WAS

W dociekanii przemian, jakie zaszły w nas samych na skutek złych przeżyć, dochodzimy raczej do wniosków pesymistycznych. Nie jest bowiem prawdem, że cierpienie uszlachetnia, albo że doświadczenia uczą. Reakcje na złe przeżycia bywają raczej przekorne, a pragnienie rekompensaty nie zachowuje miary. Mimo to istnieje w nas przeciw tym złym doznaniom odpór, którego forma i rozmiar przekracza normę cnót i zalet ludzkich. Jest to entuzjazm z dodatkiem słowa: „porywający”. Coś nas unosi, coś porywa, coś wywyższa nad szarżujący i dłużyący się czas tułaczki. Coś rozpiera nasze serca, aby objęły więcej niż tęsknotę.

Dla tych uczuć, dla tych stanów psychicznych trzeba tułaczym ludziom spódmiernego wyrazu. Jeżeli nim nie może być natychmiastowy nadzwyczajny czyn, szukają wyrazu zastępczego w książkach, a najchętniej w wierszach. Już sam rytm wierszy podnieca, unosi, porywa. Myślę, że tak należy tłumaczyć pożyteczność wierszy, nie słabnącą na żadnym naszym m. p.

Kiedy więc nadeszły pierwsze wiersze polskie tam, do Rosji — nastąpiło jak gdyby wyzwolenie tłumionych porywów. Wszystko, co było w tych ludziach ponad przeciętną miarę, znalazło swój odpowiednik w wierszach, mniejsza o to, czy zrozumianych, czy tylko wchłanianych. Grały słowa, rymy, rytm, zanim doszła do świadomości treść, wyręczająca własne odczucia.

Kwitły wtedy liliowo-różowe „uriuki” w sadach Jangi-Jul. Oficer oświatowy werbował „odczytawców”, aby atakowali wolny czas żołnierzy „sytuacją polityczną”, „sytuacją wojenną”, „ustrojem Anglii”, „wygraniem pokoju” i w ogóle prelekcjami z każdej „pouczającej dziedziny”. Oficer oświatowy był zapobiegliwy i zachłanny. Był nawet pobłażliwy. Przeraził się jednak, gdy mu podał temat mojej pogadanki: „Poezja Wielkiej Emigracji i poezja emigracji współczesnej”. Poprzez więzienie i łagry przeniósł aż tu swój bagaż niechęci do wierszy, wydawanych w małych tomikach przez firmę Hoesick. O tych tomikach i o tej firmie wiedział niewielu żołnierzy, a poezja Wielkiej Emigracji była szkolnym wspomnieniem tak samo nieleżących cenzusowców.

Oficer oświatowy dał się wreszcie nakłonić do eksperymentu może dlatego, że szef propagandy w tym czasie namiętnie propagował poezję. Na pierwszy ogień poszły — szferzy, jako że znajdowali się wśród nich inżynierowie i b. posiadacze Packardów, Chevroletów. Fiatów i pospolitych Fordów. Oficer oświatowy uprzedził mnie jednak, że większość moich słuchaczy — to ludzie dorośli i prości, ludzie konkretni, na poezję nie wrażliwi.

I tak się zaczęło w szopie, gdzie stały żołnierskie pryzce, zaśnie „w kostkę”. Na tych pryzkach, przykrytych ciemno-popielatymi, kosmatymi kocami, zasiedli słuchacze, nadrabiając miłą, że owszem, że chętnie posłuchają. Z sąsiadującego warsztatu reparyacyjnego zalaływało wonią smarów, a przez wielką, otwartą bramę widać było kwitnący sad, błękitne niebo i żółty blask upalnego dnia wiosennego.

Mówiłam o poezji, recytowałam wiersze — te dawne, unoszące się ponad nieszczęściem, i te współczesne, oszołomione klęską. Tamte i te współczesne — z dominującym motywem tęsknoty. Słuchacze zaś — dorośli, prości i chyba naprawdę konkretni — ulegli poetyckiej magii. Czyjeś oczy błyszczały, czyjeś grube, spracowane ręce poruszały się rytmicznie, po czyjejsz twarzy płynęły łzy. Wzruszenie, wzburzenie, urzeczenie, niesposzorne nawet obecnością „szarż”, objawiało się banalnymi odruchami.

Temat mój, już zaakceptowany, przeszedł następnie przez wielorakie grupy słuchaczy. Raz, w tymże Jangi-Jul, mówiłam do żandar-mów. Jaskrawo zachodzące słońce oślepiło mi oczy, bo odczyt odbywał się pod gołym niebem. Nieco w dole stały namioty, malinowe w tym nieprawdopodobnym oświetleniu, podświetlone swoimi cieniami, granatowymi jak kolor szybko tutaj zapadającej nocy. Słuchaczy zamazywał zmierzch, ale gdy tak siedzieli w kilka rzędów, wyobrażałi jakby strofę wiersza. Można by powiedzieć — wiersza ściszanego jak nokturn. Nagle ktoś westchnął, czyjs tors zafalował i strofa, ułożona z ludzkich postaci, przełamała się, zwichrzyła. Po liściach jabłoni przewiał wiatr, a krokami wierszy poszły wspomnienia: „Isć aleją, przystawać — Dawne ścieżki poznawać...”

Innym znowu razem ochotniczki w Dżałalabadzie, zdobywszy trochę cienia pod daszkiem jakiejś rupieciarni, usiadły blisko mnie, na ziemi. Góry Tian-Szaniu — w śniegu jak srebrną blachą obite, a z innej strony daleki pas Pamiru stalowy, platynowy. Na namiotach zato żar południa.

Ochotniczki nie wszystkie jeszcze w mundurach, bo kilka dopiero co wypuszczono z kołchozów. Wypływały cywilne sukienki kwitły bukiecikami /kwiatów na żyrardowskich, czy łódzkich perkalikach. Zasuszone kwiaty w miłych listach mają takie barwy i budzą podobne refleksje — rzewne i nikłe. Ten czuły, kobiece margines dżałalabadzkiej wspomnień ma swoje uzasadnienie. Bo wiersze właśnie tym, w perkalikach, były potrzebne, aby je jak najprędzej wydzwignąć z poniżenia soczewiczej pracy przymusowej. Odrzuca więc stało się wiadome, że w tym czasie, kiedy na kazachstańskich stepach płowiał żyrardowski czy łódzki perkalik — daleko, za górami, mo-

zami, granicami poeci pozbierali wszystkie tęsknoty, wiążąc je w bukiet „Kwiatów polskich”, „alarmując” świat o Warszawę, „wspominając Nowogródek”.

Mówiąc o Was, poeci współczesnej emigracji, obdarowywałam Wami zarówno wierzących, jak i zwątpiałych.

W teherańskim baraku dla uzdrowieńców żołnierze leżeli pokotem na betonie. Barak był kiedyś halą maszyn w kompleksie fabrycznym wzniesionym przez Niemców. Był może nawet filią Kruppa ten cały „Obóz czwarty”, zajęty w tym czasie przez polskie biura wojskowe i rozmaite wojskowe działy służb. Pomieszczono tu i uzdrowieńców na jakiś czas. Przez duże okna hali mogli patrzeć na stożkowaty szczyt Demawentu, mogli tu słuchać prelekcji o Iranie, jego kulturze, bogactwach, politycznym znaczeniu. Wykładający przetrząsali wszystkie wieki, aby dojść do najlepszych zapowiedzi na dziś i na jutro dla gościnnego państwa. W akustycznej hali słowa prelegentów brzmiały głośno. Były słyszalne zarówno dla tych, którzy siedzieli, jak i dla tych, którzy leżąc, przykładali ucho do betonu.

Do uzdrowieńców poszłam raczej niechętnie. Nie zdawało mi się słusne, żeby tym ludziom, z których wielu przemknęło się obok śmierci, mącić ich wegetatywną radość życia. W hali wyglądało jak na biwaku z wojen napoleońskich. Tyle, że nie rozpalono ogniska i karabinów nie ustawiono w kozły. Kilkaset żołnierzy w pozach — powiedzmy — uzdrowieńców, powietrze mgliste, ja na taborecku niczym Pytia na trójnogu. Sceneria nieco groteskowa, zwłaszcza wobec patosu tych z Wielkiej Emigracji. Ale oficer oświatowy (oczywiście nie ten sam co w Jangi-Jul, ale tak samo gorliwy i tak samo zaciekle w „atakowaniu wolnego czasu żołnierza”) już zapowiedział i akustyczna sala poniosła mój głos aż pod wysoki, żelazną konstrukcją wiązany strop.

Dopiero po dobrej chwili zorientowałam się w tej ciszy, w którą bił mój głos. Była tak okromna, jak hala. Uzdrowieńcy zakrzepili w swoich pozach niby żywy obraz... „...Wszak myśmy z Two go zrobili nazwiska pacierz, co płacie i piorun, co błyska...” — nie brzmiało już niestosownie. I tak samo: „...Musimy bić się, — Do ostatniego dnia — I do ostatniej nocy, — Nad rozum, nad uczucie, — Nad wszystkie mogiły” — zdawało się odpowiednie nawet dla uzdrowieńców, dla których w

tej chwili drogie było odzyskane życie. Ale nagle pojęli, że wartością życia jest jego przydatność i to, że trzeba je oddać za coś, co jest najcenniejsze. „Tę wojnę wygrać musimy — Tej jesieni, tej zimy — Albo za wiele lat...” Żywy obraz skotłował się. Wołano jeszcze o wiersze, aby potwierdzały entuzjazm, który potrafił przemóc i klęskę i ZSRR, i fizyczną niemoc.

W Iraku było tak: — Minęła zima, ulewne deszcze, burze zrywające namioty, noce w płomieniach błyskawic i długo, uporczywie warczących grzmotów. Minęła krótka pora kwitnienia kwiatów na kamienistych przestrzyniach. Upała lata potęgowała się z dnia na dzień, spalona roślinnością kruszała, rozsypywała się, wtedy hamsiny mieszały pył z piaskiem i żwirem, niosąc tumany przez pustynię, zasypując namioty. Trąby powietrzne kłębiły się i wytryskiwały długą wstęgą pod niebo. Pustynia rzuciła swoje złe czary na ludzi. Wszystkie myśli i czucia stały się tak obszerne, jak ten pusty kraj, tak gniewne, jak hamsin, i tak beznadziejne, jak szara barwa wyschłej ziemi.

W obozach zagadywały ży czar głośnieki radiowe, kina wędrowały, wyswietlając przyjemne obrazy, czołówki i teatry żołnierskie prześcigały się w ambicjach artystycznych. Na „ogniskach” zamiast szczap smolnych paliła się ropa, wypryskując z sykiem z blaszanych puszek. Ale rozgwieżdżone noce psuły intencję widowisk. Człowiek wychodził nocą „na próg” swojego namiotu i, nie doliczywszy się gwiazd, płynął na łódce nowego księżyca — jak Twardowski, zawieszony między niebem a tą obcą, nieprzychylną ziemią. Daremnie usiłowano wydrzeć swoją duszę czartom irackiej pustyni. Daremnie opanowani prelegenci opowiadali o Asyrii, Babilonii, Partach, Arabach. Historia tej ziemi odbiegała wstecz, w swój daleki czas, a tu brzęczały komary, roznosząc malarie.

Malarycy, żółci od chininy, obozowali osobno. Ich podkrążone oczy zdawały się smucić za wszystko i wszystkich: za tułaczkę, krzywdę, tęsknotę, osamotnienie. Ktoś przypominał ich sobie i — mnie. „Łazik” o krótkim buldożym pysku biegł trochę asfaltem, trochę wybojami, trochę niejeżdżoną pustynią. Było mu wszystko jedno, dokąd, poco — byle biec. Mógłby tak i do Polski — do Kielc, do Bydgoszczy. A tu tylko do obozu pod Qisil-

Ribath, gdzie namioty, — plac na zbiórkę, wieczór jakby niedzielny, turkusowe niebo, szeroki pas luny na zachodniej stronie.

Wiatr porywał kartki manuskryptu. Jakis żołnierz pochwylił je w locie. Na jednej był wiersz: „Lekcja”. W tym wierszu o dzieciach warszawskich słowa i tu prawie że aktualne: „...Wyją żółte upiórzeta... Zapamiętasz? Zapamiętam...” W istocie — nigdy nie zapomnę tej obrzmiałej twarzy, żółtej, niemal tybetańskiej. Żołnierz siedział na ziemi w kukki, tuż naprzeciw mnie. Jego mętne źrenice patrzyły przez szpary zapachniętych powiek. — To na nie — pomyślałam — trzeba wybrać sobie inne twarze, bardziej swojskie. — Ale potem właśnie „tybetańczyk” zawołał twardo, z poznańską: dziękujemy! — I właśnie on zwierzał się, że czytał już te wiersze, ale że z wierszami tak, jak z muzyką: im lepiej znasz, tym chętniej słuchasz.

Byli zresztą wśród słuchaczy i znawcy, którzy nie żądali od poezji przydatności. Temat — mówili — i tak musi wynikać z tego, co się dzieje, lecz rzecz w tym, aby poeta nie sfalszował tonu, nie zbanalizował formy.

Nocą obozy na pustyni robiły wrażenie oiedsi-miasteczka, wsi. Przypominały nasze miasteczka o koślawych domach, o małych okienkach, wypełnionych bladym światłem naftowych lamp. „Łazik” wdrapał się po nasypie na asfaltową szosę, która jak woda odbijała w sobie światła obozów. Te nie nowe spostrzeżenia powtarzałam już mechanicznie, aby jakoś stłumić w sobie niechęć do — znawców. Znaćcy byli przed wojną — mogą być i po wojnie. Dziś inaczej: wszystkie walory piśartwa ważne są w niedostrzeżeniu i nierozpoznaniu. Ważne są w dopełnianiu, wyręczaniu — wyzwalaniu.

Powtarzając mój odczyt wiele razy, to jedynie chciałam osiągnąć, tym przysłużyć się tułaczym ludziom, żołnierzom rozbijającym namioty na etapach długiej drogi. „Droga wiodła z daleka, droga wiodła przez Narvik do Warszawy, Lwowa, i Wilna, do Wisły, Bugu i Narwi...” Zanim dziejopis pozbiera te nasze drogi, dobrze, że go wyprzedzili poeci, dobrze, że można je skandować w wierszach, które przetrwają nas i nasz czas. A ludzie — dorosli, prości, konkretni — tak właśnie pragną zilustrować swój „porywający entuzjazm” do czasu, gdy uprzedzając wiersze, staną się bohaterami walki i czynu.

MARIAN CZUCHNOWSKI

W I E R S Z E

NAPIS

Był pod Kutnem. Ranny w Warszawie.
Gościł długo w lwowskich „Brygidkach”.
Potem uczył się trzy lata prawie
Na wyższych kursach, przejazdem, w kibitkach.

Odessa, Charków, Gorkij, Koftas i Uchta.
Uniwersytet ludowy — isprawiłtenj lagier.
Życie miał lekkie, jak puch, i smaczne, jak bucht.
Filozof. Nudysta. Pod Kręgiem Polarnym nawet chodził nago.

Potem amnestia i tyfus w Taszkencie.
Czerwonka i wolność. Radość i malaria.
Młody. Zwiedzał świat zawzięcie.
Znają go: Guzar i Amu-Daria.

Przetrzymał wszystko. Wszystko pojął. Człowiek stateczny.
Miał lat trzydzieści i dwa miesiące.
Tu leży za karę, że długo siedział. Straszny w pustyni zajęcie.
Dostał urlop. Urlop wieczny.

ON

Wieżli. Pośpiesznie wieźli karetką. Szybko i wprost.
Wiatru i serca olbrzymi huk.
Stanęli. W szczerym polu stanęli na skrajce dróg.
Oni i on. Pluton, ciemność, ziemia i most.

Och, żeby tak!
Żeby tak! tutaj, i teraz, tak głupio i źle!
Niebo błysnęło szeroko, świeże, mokre jak krew,
Obco, zimno i bylejak.

Nigdy nie zdradzał, siedłem naprzekór
Wszystkiemu i wszystkim. Uparciem się bił.
Jak motor, żywy strumień, wwierca się w brudny żyl.
To nie; spokojnie, serce! Męcz się, trzymaj, i dalej bij.

Noc brudną śniedzią chmur jęła śnić.
I poco teraz myśleć o tym, i tu? Proste: koniec rachunku.
Adieu, kochani. Zjeżdżamy!...
Serwus śmierci, skoro dłużej nie można już walczyć i żyć.

Podeszli do niego. Razem. Podpełzli, jak szczury.
Chcieli zawiązać oczy, i świat.
Nie trzeba. Wytrzymam...
Wytrzymał, patrzył, i padł
Ogromny na ziemię, na salwę, na noc, i na chmury.

HAMSIN

Gwałtowny wiatr od pustyni
Rośnie, jak ogień artyleryjski.
W lasach cyprysów, sosen i pinij
Tryskają żółte pociski.

Nie mogę spać, krzyczę po nocy,
I nigdzie nie ma dla mnie ratunku.

Jeszcze się bronię przeciw przemocy.
Jak wiatr w pustyni, wytryskam z gruntu.

Jeszcze się, bronie, jeszcze zwyciężam.
Nie ustępuję i rosnę w sobie.
Poza mną cmentarz, przede mną cmentarz
I serce całe w żalobie.

Wiele pustynny wicher i ogień.
Niech wieje wicher! Niech trzeszczy ogień!
W taką noc wichru, żalu i lęku
Niechby już serce nagle mi pękło!

Wiejcie wichry. Wiejcie na zachód.
Wiejcie na północ. Wiejcie na Tatry.
Niech krzyk mój słyszą wiślane piachy,
Lasy i góry. Krzyczcie dalej, pustynne wiatry.

Noc czarną farbą kamienie maże.
Jak bure widma, rosną bez przerwy
Kłęby cyprysów, żal, krzyk i nerwy,
I kopia doły czarni grabarze.

Czarni grabarze, bądźcie spokojni! Zimni obwiesie,
Golnijcie szybko po tegim kielsku czystej
I pochowajcie mnie w młodym paradiesie,
Jeśli nie będzie miejsca dla mnie na ziemi ojczystej.

DROGA MLECZNA

Jakiż grom, jaka gwiazda przekłeta,
Świeciły nad moją kołyską?
Rozbijam się w życiu, zatrzaśnięty w pęta,
Choć będę krótko trzymam przy pysku.

Żyję i wali we mnie cios za ciosem,
Walcę, nigdy nie kłócę się o to,
Czy warto? Co będzie? Nie spieram się z losem,
W jaki mnie wsadzi kryminał i poco?

I znowu rąbię twardo prawdę i palę mosty za sobą,
Idę tam, gdzie nigdy nie było nadziei.
Aż wreszcie mnie złamię, zaduszą i zginią,
I padnę gniewny, jak moi najbliżsi, w następnej kolei.

Do góry głowa! Jeszcze rok, czy dwa.
Co nam na tym zależy? Naprzód, byle śmiało!
Nie oglądajmy się wstecz. Nic więcej nam dziś nie zostało
Prócz drogi naprzód. Więc naprzód prowadźmy nasz marsz.

Gdy ojciec umierał, gaśla ciężko Droga Mleczna.
Szeptem powiedział: „Mój drogi, wyjeżdżam daleko w stylu podróży”.
I kiedy mnie tak samo przyjdzie zakończyć mą podróż wśród burzy,
Świeć, gromie, i pal się dalej, moja gwiazdo, przekłeta, zimna i wieczna.
Niech płonie nadal, jak niegdyś, nad moją nieszczęsną kołyską —
Śmierć, noc i gwiazda. Więcej nie chcę. To wszystko.

Jerozolima—Tel-Aviv—Haifa, sierpień-październik, 1943 r.

SULAMIT BATDORI

CITKOW

Autorka tego, po polsku napisanego opowiadania jest pisarką hebrajską, urodzoną w Warszawie i od 19 lat mieszkającą w Palestynie. Od wczesnej młodości zajmująca się teatrem (studia w szkole dramatycznej w Essen i w szkole Reinhardta we Wiedniu) po przyjeździe do Palestyny zorganizowała z członków kibuców objazdową trupę robotniczą. Jest też autorką szeregu sztuk teatralnych. Sztuka jej „Sad”, poświęcona rozruchom antyżydowskim w Palestynie, grana była w Teatrze Żydowskim w Warszawie; wystawiano ją także w Niemczech i w Argentynie. Obecnie grany jest w Palestynie jej dramat „Błędny okręt”, którego tematem jest tragedia uchodźstwa żydowskiego. Píše także nowele i wiersze.

Ku uczczeniu pamięci duszy samotnej, co mieszkała między nami i odeszła — słów kilka.

Był tak mały i niepozorny, iż niktby przypuszczać nawet nie mógł, że odegra tak ważną rolę w życiu naszego kibucu.

Skończenie konsekwentny w milczeniu, z niezmaconym filozoficznym spokojem przyjmował wszelkie przeciwności losu i okazywał lekki niepokój tylko wtedy, kiedy najlepszy jego przyjaciel Ulu wkładał mu w przystępie dobrego humoru swe wielkie profesorskie okulary na nos. Gdy rozbawiona gromada, klaszcząc w ręce i śmiejąc się, że aż szyby drżały, otaczała go ze wszech stron, podnosił ze zdziwieniem jedno ucho do góry, przekręcał nieco głowę na bok i machał kilkakrotnie ogonkiem. Były to pierwsze oznaki zdenerwowania.

Poza tym nazywał się Citkow, a to dzięki temu, że kiedyś w napadzie zemsty nazwaliśmy wszystkie nasze psy podwórzowe imionami inżynierów i kierowników pracy na kwiśzu „Haifa—Dredor”.

Czy Citkow nasz był podobny do swego dwunogiego imiennika — nie wiem. Natomiast wiem z pewnością, że jako pies nie miał wśród swych bliźnich równego. Uznawaliśmy to wszyscy i ceniliśmy go za to bardzo. Nikt bowiem nie umiał wyczuć tak tętna życia kibucu jak on, nikt nie był w stanie tak cicho i milcząco przysłuchiwać się wszystkiemu i z taką subtelną dyskrecją odnosić się do wszelkich przeżyć naszych ludzi.

Cicho, bez szelestu usuwał się do jadalni w godzinach wieczornych gawęd i stanawszy w środku wielkiego kregu zebranych, wlepiał mądre i poważne spojrzenie w mówiącego. Zdawało się, iż bał się utracić choć jedno słowo z gawędy, że starał się zanotować wszystko jak najdokładniej w swej psiej pamięci.

I nie tylko ogólne sprawy interesowały go w tej mierze, obchodziły go bowiem również i zupełnie prywatne myśli i przeżycia naszych ludzi.

Gdy gdzieś, w jakimś samotnym namiocie, ktoś o późnej godzinie prowadził cichą rozmowę z kimś drugim, gdy rodziły się myśli poważne i padały ważne słowa, unosiło się lekko dolne płótno namiotu i Citkow wsuwał się bezszelestnie. Stał, słuchał, patrzył i milczał.

I tak przyzwyczajeni byliśmy do tego cichego świadka naszych przeżyć, że uśmiechaliliśmy się tylko, gdy ktoś z naszych powiedział czasem: „Oj, Citkow, gdybyś ty tak nagle zaczął mówić, miałbyś wiele do opowiadania”. No, ale cóż z tego, kiedy Citkow nie mówił nigdy. Nie warczał, nie szczekał i nie ujadł.

Jedyny głos, jaki wyrwał mu się kiedyś z gardła, było to przeciągłe, przejmujące wycie.

A było to tak. Przeżywalimy w kibucu różne okresy. Czasem płonęły na podwórzu smolne beczki. Wesoły głos harmonii mącił ciszę nocną skoczonymi dźwiękami europejskich i monotonnymi arabskich melodii. Ziemia drżała pod tupotem roztańczonych nóg, a czerwone od tańca i ognia twarze śmiały się szeregiem białych zębów.

A czasem szara, pajęcza przędza melancholii opłatała dusze, kładła się chmurą na czoła i ciężarem na serca.

Ot, zwyczajnie! Jak w życiu.

A że byliśmy bardzo młodzi i rozmarzeni, o realnym życiu wiedzieliśmy mało i żywiliśmy się prócz chleba Nietzschem, Freudem i Schopenhauerem, chwile takiej melancholii imponowały nam bardzo. I w pełnym poczuciu ważności chodziliśmy z pochylonymi głowami i wzrokiem wbitym w ziemię. Zdarzyło się kiedyś, bardzo dawno temu, że przeciągnęliśmy strunę.

Długi i ciężki okres melancholii wyczerpał nerwowo wszystkich i w końcu naciągnięte nerwy rozkręciły się gwałtownie i noc przyniosła nam ostre wybuchy spazmatycznego płaczu w wielu namiotach obozu.

Citkow przeżywał to wraz z nami. Dzień cały włókł się z podwiniętym ogonem od namiotu do namiotu. Z niepokojem zaglądał w oczy napotkanym ludziom, jakby oczekując odpowiedzi na dręczące go wątpliwości. A gdy nadeszła owa pamiętna noc i niewstrzymane łkania zmały ciszę, wyszedł na środek podwórza i, podniósłszy głowę ku górze, zawył. A wycie to było tak przeraźliwe, tak przeciągłe i rozdzierające, żeśmy poculi wyraźnie, iż czworonożny nasz towarzysz cierpi cierpieniem całej naszej gromady. Od tego czasu zmieniliśmy się bardzo.

Schopenhauer poszedł w kąt, z nim razem i Nietzsche. Na miejsce ich zjawili się

tygodniki i dzienniki związku robotniczego, zjawili się podręczniki rolnicze i komedie Marka Twaina.

Z dawnej naszej melancholii wyleczyliśmy się gruntownie i z rozmarzonych młodzieńszków staliśmy się robotnikami o twardej ręce i twardym stosunku do życia.

Jeden tylko Citkow nie chciał uznać zmiany. Pozostał jak dawniej wiecznym melancholikiem i denerwował się mocno, gdy czasem wieczorem przy stole wśród śmiechu i gwaru wspominaliśmy ową pamiętną noc i kpiliśmy z niej wesoło. Co robić! Była w nim widocznie dusza konserwatysty, dlatego pewno tak bardzo od nas ostatnio się oddalił.

Nie pomogło, że Zyga znosił mu kości, a Jankł chleb i herbatę. Nie pomogło, że Ulu powoływał się na dawną przyjaźń, a Bertek wyszukiwał mu najśrodsze imiona: „Citkow, Citkele, Kiczkele, Pitaszkele, Patyszkele...”

Nic. Ani drgnął. Zjadał, co mu dawano, pozwalał się pieścić i głaskać, pomarszczona jednak mordka nie rozwierała się już tym dawnym dobroncznym uśmiechem.

W końcu jednak znaleźliśmy na niego sposób. Zdobyła go nam z powrotem coraz bardziej rozwijająca się wśród nas muzyka.

Jak powstało koło muzyczne w kibucu naszym, doprawdy trudno określić. Ktoś kiedyś zaczął rzępolić na rozstrojonych skrzypcach i ktoś drugi zaraz się od niego. Kupiono

BARBARA WOLICA

KAZIMIERZ I PISARKA

Żeby nie było nieporozumień: mowa nie o panu, któremu na imię Kazimierz, lecz o miejscowości, o Kazimierzu Dolnym. O starym, historycznym miasteczku, położonym nad szeroko rozlaną w tym miejscu Wisłą, rozstępnym, jasnym i nade wszystko zielonym, tak chyba zielonym, jak żadna w świecie miejscowość.

Gdy ulicą Krakowską iść od Rynku do kamieniołomów, po prawej stronie płynie po wolnym, leniwym nurtem Wisła, po lewej wznoszą się wzgórza, porośnięte nieprawdopodobną zielenią, pełną najróżnorodniejszych odcieni, soczystych, intensywnych i przedziwnie szarmonizowanych, jak tylko przyroda umie szarmonizować barwy podobne, a przy tym odmienne.

Tak to całe miasteczko tonie w zieleni. Wiosną kwitnące sady (czekają swego Van Gogha), jesienią purpurowe berbersy i żółtość, i rdza umierających liści. Ale w pamięci jawi się tylko Kazimierz letni, zalany słońcem. Dziwne miasteczko, gdzie historia spleta się z legendą, piękno przyrody z nędzą ludzką a sztuka ze snobizmem. Sztukę reprezentują tu liczni malarze i pisarze, zakochani bez pamięci w Kazimierzu, przyjeżdżający stale i stale niesyci piękna, uroku i atmosfery, tej specyficznie kazimierskiej atmosfery, którą nie sposób określić. Za nimi podąża tak zwana publiczność, złożona z licznych wielbicieli Kazimierza i jeszcze liczniejszych snobów, pragnących odrzucić się od artystów.

(Niesłusznie zresztą odsądza się snobów od czci i wiary, niesłusznie darzy się ich pogardą i lekceważącym uśmiechem. Snobizm niby rajfur stręczy ludziom sztuce. Ktoś, co ze snobizmu przeczyta modną książkę, albo obejrzy wystawę modnego malarza, zbliża się mimowoli ku sztuce, uczy się ją kochać i czasem nawet rozumieć. I dlatego ten rodzaj snobizmu staje się społecznie pożyteczny).

Tak więc w złote od słońca dni letnie plaża kazimierska i cudowny stary Rynek wypełniają się tłumem zbitym, jaskrawym i ożywionym. Przybysze pozostają jednak zawsze gośćmi, od kazimierzan dzieli ich cienka, lecz trudna do przekroczenia przegroda. Kazimierzanie bowiem są oczywiście ekskluzywni, można żyć tylko obok nich, ale nie razem z nimi. Są przecież wyjątki, którym udało się przebyć przegrodę i wejść w prawdziwy Kazimierz.

Wiele było rozmów i dyskusji, gdy słynny Prus — malarz, profesor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, Tadeusz Pruszkowski — wybudował swą nowoczesną basztę w pobliżu starych ruin baszty. Potem spory uciły i baszta Prusza wrosła w pejzaż kazimierski, przestała drażnić wrażliwe oczy niechętnych. Pruszkowski i jego grono stali się częścią składową, niezbędnym elementem Kazimierza. I drugi jeszcze dom wmontował się — już bez sporów i hałasu — w zieleni wzgórz kazimierskiego. Nazewnątrż niepozorny, prosty, zbity z wielkich ciemnych bali — duża drewniana, z pochylonym dachem chałupa. Otoczony ogrodem, patrzy ze szczytu wzgórz na szeroką perspektywę okolicy, na położone w dole miasteczko i na Wisłę.

To dom Marii Kuncewiczowej. W tym prześlicznym urządzonym, pełnym prostoty domu spędzała pisarka znaczną część roku — zawsze zbyt mało w stosunku do pragnień... Bo Kazimierz w życiu Kuncewiczowej nie był przypadkowym postojem, stał się etapem dorosłym i ważnym. Twórczość Kuncewiczowej byłaby niepełna bez Kazimierza, podobnie jak Kazimierz wydałby się niepełny bez tego domu i bez Marii Kuncewiczowej. Oboje byli

i jemu skrzypce, gdyż zapewniał o odkrytych nagle zdolnościach. Zaraza rozeszła się szybko i co chwila ktoś inny odkrywał w sobie nowe pragnienia, co chwila ktoś inny zaczynał uczyć się, a instrumenty przybywały z dnia na dzień.

To też gdy wiolonczela jęknęła pod niewprawną jeszcze ręką Maltera, gdy zaświergotał flet Berka i zawtórował mu klarnet Jankla, gdy pięć skrzypiec zawodziło sopranem w zgodzie z naszą największą chlubą — fortepianem, a drugi flet pomagał altówce, serca nasze rosły z zachwytem.

Szczególnie uwertura do opery „Poeta i chłop”, wykonana przez dzielną naszą dwunastkę, napędzała nas wszystkich niewysłowioną dumą.

Najwięcej chyba cieszył się jednak Citkow. Rozwarta od ucha do ucha mordka świadczyła o pełnym zadowoleniu duchowym. Z podniesionym do góry ogonem, kręcił się między grającymi z taką niebywałą energią, iż w końcu poprzewracał nuty i został sromotnie wyrzucony za drzwi.

Nie przejął się tym jednak zbyt.

Znalazł sobie szparę w ścianie i przytknąwszy do niej ucho, nadsłuchiwał uważnie z miną starego przysłuchanego melomana.

Od tego czasu stał się zaciekle zwolennikiem muzyki i jej adeptów. Asystował przy próbach, lekcjach i ćwiczeniach. Nie opusz-

„sobie przeznaczeni”. I nikt chyba — z wyjątkiem Adolfa Rudnickiego — nie pisał tak o Kazimierzu, jak Kuncewiczowa. Opowiadała jej z okresu „Dwóch księżyców” oddają ten nieuchwytny nastrój, atmosferę, którą się wyczuwa podskórnie, przybывая do tego przedziwnego miasteczka, przede wszystkim to właśnie „pomieszczenie rzeczywistości z udziałem”, jak mówi Kuncewiczowa.

Nie należy jednak sądzić, że Kuncewiczowa stała się pisarką regionalną. Po „Dwóch księżycach” powstała „Cudzoziemka”, świetna wielopłaszczyznowa, kunsztownie skonstruowana powieść psychologiczna, jedna z najlepszych pozycji polskiej literatury przedwojennej. Powieść — jedna z nielicznych — która zostaje w pamięci, na zawsze zespolona z motywem muzycznym koncertu skrzypcowego Brahmsa. Później przyszły „Dni powszednie państwa Kowalskich” — nowy rodzaj literacki — powieść radiowa. Któż z nas nie słuchał tych przepysznych dialogów uroczej pary Kowalskich, wspaniale podchwytanych typów ludzi idealnie przeciętnych, z ich małymi troskami i małymi radościami powszednimi. Państwo Kowalscy stali się symbolem. I dziś, gdy w korespondencji z kraju autor przeprowadza podział Warszawy na „Warszawę haniebną, podziemną i Warszawę państwa Kowalskich” — doskonale wiemy, kogo ma na myśli, mówiąc o tej trzeciej Warszawie. Kowalscy przestali być imieniem własnym, stali się pospolitym.

Tak więc twórczość Marii Kuncewiczowej z ostatniego przed wojną okresu wyszła poza ramy i łańcuchy tematyczne. Wyszła tematycznie. Ale nie wiemy, w jakim stopniu atmosfera domu kazimierskiego wpłynęła na powstanie „Cudzoziemki”, może spokoję przystani kazimierskiej i odświeżające piękno przyrody tamtejszej mają większy, niżby się wydawało, udział w rozkwicie talentu pisarki. Jedno jest pewne: miłość Kuncewiczowej do Kazimierza, związek z nim uczuciowy istnieje i trwa.

Niedawno ukazał się artykuł Kuncewiczowej o Kazimierzu, i to jest zupełnie naturalne i oczywiste. Opis związzy, rzeczowy i celny a zarazem pełen poezji i uczucia. Odżywa przedziwne misterium Rynku i czar zielonego kwietnego miasteczka.

Pamiętam ostatnią rozmowę z Kuncewiczową w upalne popołudnie sierpnia 1939 r. Staliśmy w alei kasztanowej na szczyście wzgórz. Mówiło się o sprawach codziennych i zwykłych. O sprawach kazimierskich. Wszystko było jeszcze piękne i pogodne. Pogodny jak zwykle był uśmiech Marii Kuncewiczowej, gdy tak stała w wielkim kapeluszu słomkowym w cieniu kasztanowej alei.

Panika spadła na Kazimierz nagle i gwałtownie. Ostatnie dni sierpnia, jaskrawe od słońca, stały się szare i spopielałe. Wieczorami srebrno-błękitne niesamowite światło pełni księżycowej — grupki ludzi na rynku słuchające radia. I potem szalona, pełna popłochu ucieczka. Uciekaliśmy wszyscy przybysze. I Kuncewiczowa opuściła swój dom.

Teraz Kazimierz czeka. Czeką na powrót. Nie wszyscy wrócą. Pruszkowski został zamordowany przez Niemców. Malarzy i pisarzy rozwiła po świecie całym. Iuż z nich nie ujrzy więcej zielonego miasteczka. Ale Kuncewiczowa jest, przebywa w Londynie, pracuje, pisze, (przygotowuje powieść z życia emigracji,) jest przesyłką oddziału polskiego PEN-klubu. Kazimierz czeka na nią, dom kazimierski czeka.

*) Por. Nr. 2 „W Drodze” z dn. 16 kwietnia b.r.

czają nawet chwil, kiedy Pulan i Jakobi kłócili się zawzięcie o przepisywanie nut. Bo i to przecież dotyczyło muzyki.

Szczytem jednak emocji była dlań chwila, kiedy Ulu, mordując bezlitośnie altówkę, wydobyl z niej wreszcie przeciągły, minorowy dźwięk, tak minorowy jak on sam i w ukryciu pisane przezeń wiersze.

Citkow odczuł ów ton całym sobą. Stał wyprostowany jak struna, otworzył mordkę i z głębi jego psiej duszy wydobyl się równie przeciągły i przejmujący głos, coś co do prawdy przypominało pierwotną jakąś formę śpiewu.

„Citkow akompaniował mi dzisiaj” — mówił wieczorem Ulu, i wogóle był zdania, że w małym jego przyjacielu żyje zaklęta dusza jakiegos zapoznanego muzyka. A my nie byliśmy dalecy od tego, by uwierzyć w jego diagnozę.

Ale nie to najważniejsze. Ważnym było, iż Citkow był znowu nasz. Merdał jak dawniej ogonkiem na powitanie, podawał łapkę na „szalom” z nieopisaną powagą, brał nadal udział w naszym życiu. Wyraz rozgoryczenia, cechujący ostatnio jego zachowanie, zniknął w zupełności.

Co dnia wstawał o świcie i siedł wraz z nami na robotę. Gorące jednak promienie słońca działały nań widocznie usypiająco, gdyż związał się w kłębek i odrabiał godziny straconego przez nocną włóczęgę snu.

I często tak się zdarzało, iż układał się właśnie na linii kopanego rowu. Gdy turkot taczek, zgrzyt łopaty o spieczoną ziemię i stuk rozhuśtanych kilofów zbliżał się zbyt blisko do niego, otwierał nieco jedną powiekę i śledził nas z pod oka. I nie ruszył się z miejsca, choć tuż przy nim rozwierała się zięjąca paszcza rowu. Przechodziła wreszcie chwila, gdy błyszczące w słońcu ostrze kilofa zawisło mu tuż nad głową.

Nie drgnął nawet. Wiedział, że wprawna ręka kopacza wstrzyma w ostatniej chwili spadające z rozpędem żelazo, a z za nieszkodliwionego narzędzia wojny wyjrzy znajoma i spocona lecz roześmiana twarz kogoś dobrze znajomego: „Citkow, etla!” — wołaliśmy rozbawieni tym niezwykłym dowodem zimnej krwi i zaufania do nas. Citkow powoli wstawał, przeciągał się leniwie i uśmiechnąwszy się szeroko, odchodził na bok. Ulu twierdził z całą stanowczością, że mrugnął nań nieznacznie lewym okiem. Możliwe!...

A zresztą zaczęliśmy powoli wierzyć we wszystko, co tylko mówiono o naszym małym przyjacielu.

Zgadaliśmy się wszyscy, że jeżeli nawet nie pokutuje w nim jakaś zaklęta dusza, to w każdym razie jest to istota o psychice ogromnie oryginalnej i ciekawej i uznawaliśmy go bez względu na jego cztery nogi za prawdziwego członka kibucu.

I nikt z nas nie uwierzyłby nigdy, że Citkow opuści nas kiedyś. Kibuc bez Citkova, to przecież paradoks.

A jednak... Po długim pobycie w cichym i prawdziwie wiejskim Nahalalu przeniesiliśmy się do nowopowstającego miasta Afule.

Zmiana ta była dla Citkova prawdziwym a nieoczekiwanym ciosem.

Przyzwyczajony do intymnego i zamkniętego życia kibucu, nie mógł się w żaden sposób oswoić z gwarem i wirwarem wielkiego obozu robotniczego w Afule. Nawykły do nocnych, samotnych spacerów, do samych znajomych twarzy, do poważnej ciszy wiejskiej, nie mógł się odnaleźć na typowych miejskich wiecach i zebraniach robotniczych, gdzie obcy ludzie wymachując rękami mówili niezrozumiałymi dlań słowami o strajkach, partiach i polityce.

Machał na wszystko łapką i z dnia na dzień tracił humor. Nawiedziła go dawno nieznana apatia i zniechęcenie.

Jadł mało, chudł z dnia na dzień i nie pomogły żadne tłumaczenia. Nie chciał zrozumieć, że czasy się zmieniają, że czwarta alijah zalewa teraz Erec i że to jest konieczność dziejowa. Nie obchodziły go najpoważniejsze argumenty naukowe. Gdy mówiono mu o materializmie dziejowym, ziewał przeciągle, a na dźwięk imienia Marxa odwracał się na drugi bok i drzemał.

Co było robić z takim zaciętym konserwatystą?

Z bólem serca tylko patrzyliśmy jak niknął w oczach, i nie zdiwiliśmy się już wcale, gdy pewnego dnia poszedł i nie wrócił więcej. Podobno widziano go, jak zdychał samotnie w rowie.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!

NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. G u r m a n)

T E L - A V I V, ul. ALLENBY 83

JÓZEF JAREMA

Dokąd zdąża współczesna sztuka polska?

W świecie sztuki tak jak w każdej dziedzinie ludzkiej działalności, padają coraz częściej pytania: dokąd, dokąd?

Czy Paryż będzie nadal Paryżem, czy będzie on przodował swą twórczością artystyczną i kulturalną?... Gdzie przypuszczalnie ukazywać się nowi przewodnicy i nowi pionierzy odkrywający piękno?... Wśród tak wielkiej ilości programów, wśród teorii estetycznych, jakie wybrać za punkt oparcia, za punkt wyjścia?... Czy wszystko trzeba budować od początku, na nowych przesłankach, na nowych teoriach, w nowym, przyszłym świecie? A jeżeli nawet skłonni jesteśmy wybrać za punkt wyjścia w pracy artystycznej taki czy inny program czy kierunek sztuki, to dokąd właściwie z nim iść?... Monumentalizm czy intymizm, kolor czy forma?... Czy dążyć do doskonalenia znanych form i metod artystycznych?... Czy iść w nieznaną, nawiązywać do intelektualnej?... Czy gwałtem szukać nowości? Może na oślep?...

Chcąc odpowiedzieć na te kwestie nie dla wywołania łatwego efektu, musimy zdać sobie sprawę z elementów, charakterystycznych kultury europejskiej. Trzy czynniki odpowiadają mniej więcej potrójnemu charakterowi typu cywilizacji, jaki Valéry chrząka mianem europejskiej: są to tradycje Grecji, Rzymu i Chrześcijaństwa. Odpowiadają im w świecie sztuki: 1. smak artystyczny, 2. uświadomienie sobie praw, które w sztuce rządzą, 3. sumienie kulturalne. Jeżeli któraś z tych składowych nie istnieje lub kuleje w danym społeczeństwie czy jednostce, europejskości ich postawy jest wątpliwa.

Tych trzech baz nie zagada nikt, ani nikt nie przekreśli żadnymi jednostronnymi modnymi postulatami, bo są one tak prawdziwe dla europejskiego organizmu duchowego, jak żołądek dla organizmu fizycznego. Sztuka nie jest jakimś urojonym światem, ale rzeczywistością potrzebą życia. Jeżeli nieraz nie odczuwamy konieczności jej obecności i nie doceniamy jej, to tak jak nie zauważamy obecności powietrza, choć bez niego wszelkie życie ustałoby i zamario. Wiemy, że nie ślepy los rządzi nami, a przeznaczenia, ku którym zdążamy poprzez nasze czyny i zamierzenia. Przyszłość zajęła miejsce losu. To też pytanie — dokąd?... Do czego ma zdążać sztuka, rozwiązać będzie trzeba poprzednim pytaniem — dokąd?... Jaką drogą trzeba iść?... A wtedy prawdopodobnie i pierwsze pytanie będzie rozwiązane. Pytanie to: gdzie uformuje się centrum artystyczne świata?... kto kulturę tego świata poprowadzi?... — już jest rozwiązane. Bo nie punkt świata jest tu najważniejszy, a moment wybrania — przez postulat estetyczny idących pokoleń — atmosfery. Atmosfery, zesrodkowanej w jakimś sprzyjającym usiłowaniu animatorów kultury miejscu, atmosfery poprzez siłę atrakcyjną prawdziwych odważnych twórców danego społeczeństwa oraz jego poziom kulturalny i ściślości żywej tradycji, jakimi dane środowisko dysponuje. To gdzie?... wszystko razem biorąc jest właściwie szansą. Szansą pozornie kapryśną. W istocie jest to wynik i logika wysiłków i jeszcze raz wysiłków. Trzeba sobie powiedzieć raz na zawsze, że za kulturę się płaci, płaci się norwiderskim „potem czoła” i poświęceniem.

Zaczneć od tradycji. Tradycja jest pewnego rodzaju potencjałem kultury świata, podczas gdy inwencja żyjących artystów jest tej kultury siłą rozwojową, jest jej aktywnością. Odkrywca pomysłowości twórczego człowieka jest więc w wielkiej mierze zależna właśnie od tradycji, od poziomu form artystycznych wśród jakich przyszło mu się wychować, kształcić i dojrzeć.

Z tego punktu widzenia rola tradycji danej epoki i stopień ściślości precyzowanej przez nią prawdy artystycznej nabiera znaczenia największej wagi. Mówię o tradycji żywej, która pulsuje całą pełnią konkretnych artystycznych, w przeciwieństwie do wszelkiej historii sztuki. Wiemy, kto byli, i admirujemy dzieła Ver Meera czy Velasqueza i Rafaela, ale kontaktu żywego z ich procesami twórczymi nie posiadamy już dzisiaj, a analiza techniki czy chemii nie odtworzy nigdy sekretów twórczego życia. Mówię więc o tradycji przekazującej z pierwszej ręki odkrywcze doświadczenia poprzednich, bliskich nam pokoleń, o tradycji transmitującej na żywo i w szczegółach jakże nieraz wyjaśniających rozwój form artystycznych, w powiedzeniu znaczącym jakiegos artysty, sens usiłowań i osiągnięć, sens koncepcji artystycznej, okresów poprzedzających nową koncepcję. Mówię o żywej inspiracji, gwarantującej prawdziwość nowych dróg i poszukiwań artysty — swą własną prawdziwością, zabezpieczającą równocześnie możliwości pełnego rozwoju twórczej jednostki.

Artysta malarz zaczyna się od obrazu, nie od natury, tak jak poeta to nie człowiek lubujący się w nastrojach natury, ani gonący za sensacją zdarzeń — a człowiek kochający wiersze. „Artysta dokonuje się poprzez imitację, poprzez wzory poprzedzającego go arcydzieła, a każda twórczość jest u swego źródła walką własnych zdolności formowania z formą imitowaną”. Z rysunku dziecka nie przechodzi się do malarstwa, tak jak ze śpiewu ptaszków nie przechodzi się do muzyki. Sztuka malarska, jak każda sztuka, jest skomplikowaną budową wyrazu, nie mającą wiele wspólnego z bezpośrednimi zjawiskami natury. Jest grą koloru, linii i mas — dopro-

wadzącą nas do głębokiej delectacji kontemplacyjnej. To też tylko te zalety niezależne od traktowanego przedmiotu pozwolą dziełu sztuki utrwalac się w przyszłości, mówiąc inaczej, tylko te walory pozwolą formie artystycznej spełnić jej przeznaczenie.

Po tym ogólnym poglądzie na sprawę sztuki przypatrzmy się tworzeniu się współczesnej żywej tradycji kultury światowej. Podkreślam tę światowość i uniwersalność kultury. Przypomnijmy sobie, że wszystkie epoki kulturalne posiadały ten charakter, że Odrodzenie włoskie zasięgiem swych wpływów i siłą sugestii formy artystycznej ogarniało rozległe ośrodki cywilizowanych krajów, podobnie jak to dzieje się, od przeszło stu lat z kulturą francuską. Kultura ta rozpoczęła formować naszą tradycję dzięki oryginalnym i odważnym twórcom od połowy XIX wieku. Podobną rolę jaką w tradycji włoskiego malarstwa odegrali Massacio, Perugino, Ghirlandaio i inni, wypełnili we Francji pierwsi impresjoniści oraz budownicy nowej wizji malarskiej: Cezanne i Seurat wraz ze zjawiskową furją Van Gogha. Zgrupowanie tych właśnie twórców nowych form, nowego instrumentu palety malarskiej i prekursorów nowych doznań estetycznych nadaje wyraźny sens memu pogładowi na istotę obowiązującej już dziś tradycji, którą staram się tu wyjaśnić. Z góry przygotowany jestem na zastrzeżenia (mam na myśli poważne zastrzeżenia), że wśród elementów, składających się na całość współczesnej kultury artystycznej, zaistniały osiągnięcia kubistów i fowistów, oraz silne akcenty ekspresjonizmu, że znajdują się tam poważne retrospektywne „odczyty” wartości z koncepcji malarskich El Greca i Goya, Davida i Ingresa aż do reminiscencji rembrandtowskich. Dodaję, że bynajmniej nie zamierzam pomijać znaczenia tych osiągnięć w całości, kształcie nowej tradycji, ale usiłując wykaazać główny i życiodajny strumień nowych sugestii-form, chcę zwrócić uwagę na niezaprzeczalnych inicjatorów, na źródła tego ruchu artystycznego trwającego od 100 lat, aż do jego francuskiego punktu szczytowego... do dzieła Bonnard'a i Matisse'a. Oni to, wywodzą się z impresjonistów, osiągają stopień świadomości formy malarskiej, doprowadzając sztukę koloru do jej czystego stanu, do języka artystycznego, zbudowanego na czysto malarskich problemach, do myśli malarskiej, a tym samym do pewnej uniwersalności, umożliwiającej powstanie wszechświatowego stylu naszych czasów.

Dlaczego wartość odkrycia impresjonistów posiada siłę powszechności, której brak innym kierunkom? Poprzedzający „romantyzm”, jak i powstałe obok impresjonizmu kierunki: „symbolizm”, „abstrakcjonizm” oraz „ekspresjonizm”, akcentowały odpowiednio wyłączenie i ograniczone strony zagadnień estetycznych w poszukiwaniu swego stylu. Impresjonizm i jego kolejne rozwojowe fazy oparły się na nowoczesności i intelektualnie rozbudowanym odkryciu najbardziej uniwersalnego czynnika wizji malarskiej jakim jest światło. Już w starożytności zawdzięcza swą wielką kulturę plastyczną świadomości tego właśnie czynnika sztuka egipska, która zapadła swymi inspiracjami artystycznymi świat starożytny. Jeżeli od tego dodamy rzadkie zjawisko, a mianowicie, że impresjonizm przechodził samego siebie, wydając we Francji Cezanne'a i Seurat'a, w Holandii — Van Gogha i w Belgii Ensora — twórców form artystycznych, które na długo przeżyły początkowy program nowego ruchu, zrozumieć głębiej znaczenie i zakres objawienia się tego nowego malarstwa. Radość światła staje się ponownie źródłem wybuchu nowego liryzmu. W plainairze osiąga malarz ostateczne wyzwolenie się sztuki koloru. Człowiek wyruszył na zdobycie nowoczesnego Olimpu, gdzie będzie mógł cieszyć się pięknem samym w sobie. Intelkt zostaje

porwany i zaczyna brać czynny udział w skomplikowanych konstrukcjach artysty, a ogólny, obejmujący kolejno cały świat porwy świadczy o prawdziwej artystycznej rewolucji.

Porwani nią w czasie pobytu we Francji nasi wielcy malarze tej doby, Aleksander Gierzyński i jego uczniowie Pankiewicz i Podkowiński, stają się adeptami nowej tradycji. Dokonuje się transplantacja nowego kierunku na glebę polską. Dyskusja, przeprowadzona między André Gide'm a Barresem, zakończyła się zwycięstwem tezy, że proces takiej transplantacji pod warunkiem przeniesienia na nowy grunt całej istoty danego stylu, prorokuje mu nowy rozkwit i dalszy jego rozwój z nowym wigorem. Transplantacja ta od początku daje pozytywne rezultaty. Wszystkie najciekawsze płótna Wyczołkowskiego powstają właśnie przy podmuchu nowego piękna (okres ukraiński). Za wcześniej zmarły Wojtkiewicz stwarza na tym tle wielkie nadzieje i możliwości przyjęcia się nowej estetyki malarskiej w Polsce, a praca pedagogiczna Józefa Pankiewicza — wraz z burzącym resztki fałszywych autorytetów akademickich formizmem (polskim odpowiednikiem kubizmu) — decydują o udaniu się życiodajnej transplantacji. Można by ją porównać do transplantacji włoskiej sztuki przez Poussina i Claude Lorrain'a, na grunt francuski około trzy wieki temu.

Gdzie jest istotny punkt zwrotny w historii sztuki? Staje się nim ruch estetyki od połowy XIX wieku, jak to już wspominałem. Koncepcja „czystej sztuki” Edgara Poege, przyjęta przez Baudelaire'a, natchnęła inteligencję artystyczną wszystkich dziedzin sztuki nową prawdą. Poe rozumiał, że sztuka winna dostawać się do tendencji epoki, w której poszczególnie dziedziny działalności ludzkiej emancypowały się coraz bardziej aż do zupełnej specjalizacji i autonomii — i że wobec tego sztuka również winna dążyć do wyemancypowania się, do twórczości artystycznej w jej „czystym stanie”. Otóż coż to jest malarstwo w stanie czystym?... Jest to sztuka, kultuwująca malarskość, malarskość obrazu, wartości niezależne od nieczego innego poza grą, poza koncertem koloru i linii jakim jest w swej istocie każdy obraz. To co interesuje znawców i inteligentną publiczność w obrazie — to raczej grające na naszej wrażliwości doznania kolorystyczne, aniżeli anegdota obrazu. Raczej doznanie jego malarskiej treści, niż tego co jest jego inną treścią, co nam dany obraz opowiada. „W sumie — to co zostaje w naszej świadomości wizualnej z obrazu — to zmaganie się między czystymi barwami a barwami złamanymi, między walo-rami a tonem i niuansami koloru. Malarz usiłuje zrozumieć wszystkie przyczyny i sprężyny tego zmagania się. Usiłuje on znaleźć powód artystyczny, który zdecydował o dojsciu do tej rozgrywki, do tego malarskiego pola bitwy. A dany obraz przestaje być dla niego tylko przedmiotem kontemplacji, stając się dlań szkołą.”

Całe pokolenie między dwiema wojnami, z wigorem młodości szukające prawdy, staje w licznych grupach (Jednoróg, Kapiści, Zwornik. Prymat i kilku poważnych indywidualnych malarzy) do pracy nad postawieniem naszej sztuki na europejskim poziomie i nad przyswojeniem w całości (a nie połowicznie) społeczeństwu polskiemu zdobyczy estetycznych i kulturalnych, jakie niósł Europie i całemu światu uformowana już nowa tradycja twórców, wywodząca się z francuskiego malarstwa. Jeżeli publiczność polska, reagująca na ogół na sztukę emocjonalnie, mogła rozmaicie ustosunkować się do tego malarstwa, sięgającego w XIX, to współczesny artysta polski, zorientowany co do źródła i co do istoty nowej koncepcji, dojrzuje kulturalnie we wskazaniach ściśle sprecyzowanych i osiąga już dzisiaj rezultaty na miarę wszechświa-

lowego znaczenia. Przypomina się historia Degasa, wielkiego francuskiego malarza. Ten wspaniały przeformowiec był uczniem i admira-torem Ingresa. Był on członkiem grupy kawiarerki Guerbois na Batignolles, gdzie prze-siadywali Manet, Renoir, Monnet, Bazille, Zola a niekiedy Courbet. Degas ulegał właściwie dwóm stylom: Ingresowi i Delacroix. Jego po-zegnanie się z tymi stylami — to obraz „Mlle Fiocre dans le ballet de la source”. Ostatnie wspomnienia dawnych czasów i jakiś moment powstawania na tle atmosfery i dyskusji u Guerbois nowych nadziei. Przyszły malarz teatru i baletu, kobiet przy toalecie i praczek rozstawał się w tym dziele z dawną tradycją malarską. Piękno takie, jak ludzkość nauczyła się je sobie wyobrażać, jak In-gres je chciał zawsze tworzyć — staje się dla Degasa czymś obojętnym. Nudzi go. Jego ję-zyk artystyczny przestaje być językiem ota-czającego go społeczeństwa i jego przyjem-ności nie są już te same, są z innej istoty rze-czy. Degas rozstał się z dawnym malarstwem, ale słuszniej byłoby może powiedzieć, że to poniekąd malarstwo rozstawało się z okresami swoich długich kolejnych służb różnym pa-nom i wyemancypowało się, jednym skokiem zaczęło pracować dla siebie, tworzyć swój własny, autonomiczny świat. W istocie może nie wiele się zmieniło: dawne malarstwo też pracowało dla malarskiego poziomu, ale coś się bardzo wyjaśniło. Myśl malarska wyzwo-li-ła się, wyrosła ponad przeciętną użytkowość, aby spełniać tę samą właściwą funkcję, tylko na odpowiedniejszym miejscu, podporządko-wując sobie dotychczasowych protektorów.

Wiele, bardzo wiele jest w tej ewolucji Degasa podobieństwa do sytuacji i przemian w naszej współczesnej sztuce. Nie ma już Jo-wiszów ani córek Narcyza, nie ma już histo-rycznych obrazów i obrazków rodzajowych z zachodami słońca, coraz mniej jest koni i co-raz mniej hucutów na polskich obrazach, ale jest więcej i coraz więcej malarskości na na-szych płótnach i nie będzie już w przyszłości norwidowskiej skargi: „Żeby choć jedno ma-zowieckie płótno” było sztandarem sztuce...

Co się stało? Nie ma dziś sztuki bez myśli malarskiej, a nie ma tej myśli bez lo-gicznej organizacji i konstrukcji. Wartość malarska obrazu polega dziś na skonstruo-waniu płaszczyzny, na zbudowaniu kontrastu elementów malarskich lub na ich zharmonio-zowaniu. W swoich ciekawych rozważaniach o „Wystawie Polskich Artystów - Żołnierzy” pisze świetny krytyk palestyński dr. Gamzou: „Nauczyliśmy się „myśleć w obrazie, tak jak pokolenie romantyków nauczyło się „czuć” obraz. Będzie więc musiał „myśleć” współ-czesny artysta, będzie analizował i budował swoje działanie malarskie według swej meto-dy”. To też dzisiejsze obrazy — jak to sformu-łowaliśmy w studium o literackiej formie dzieł Prousta Józef Czapski — stają się snuciem, historią myśli malarskiej, rozbudzonej sko-kiem wizualnego wrażenia raczej, niż wzroko-wym wrażeniem. One rozbudzają w nas sko-jarzenia myśli i sugestii malarskich, najbar-dziej nieoczekiwane najbardziej dalekie, na-prowadzające do metafor malarskich, dają-cych nam przedsmak jeszcze piękniejszych. jeszcze bardziej niespodziewanych metafor. Sztuka — to jest właśnie metafora, to jest odnalezienie w dwu różnych wrażeniach, w dwu obcych światach ich punktu styczności, ich wspólnoty, boskości zagubionej w wie-czności. To nie w ideach czy „tezach” ar-tysty, a w granicach realizacji formy można-by dopatrywać się miary tego, co artysta przynosi i daje swemu krajowi. A tę wysoką sztukę, te największe dla każdego społeczeń-stwa wartości osiągają tylko ci artyści, któ-rych będąc pracownikami malarskiego proble-mu — nie poświęcili go łatwemu „podobaniu się sobie i ludziom”, podobaniu się, niszczą-cemu talent i gubiącemu instynkt.

Chciałem tym artykułem wprowadzić czytelników bliżej w zagadnienia i troski za-wodowe artysty, w jego odpowiedzialność za-wodową, zbliżyć ich do malarstwa i do ludzi sztuki. I dodam, że wystawa polskich ar-tystów, którą oglądaliście, zbliżyła do Polski wielu ludzi obcych, zbliżyła do Polski ludzi wszystkich kulturalnych środowisk Bliskiego Wschodu. A to uznanie i przyjaźń i sym-patie dla naszego malarstwa zdobywało — ist-nienie w naszych obrazach współczesnego malarskiego problemu.

Sztuka naszej epoki nosi znamiona inte-lektualne. Ale o prawdziwe jej poszukiwani i osiągnięć świadczyć będą — jak zawsze nie-omylnie — dwie fundamentalne podstawy pracy mistrzów: „organiczność” tworzenia, oraz świadomości artysty, jego sumienie kul-turalne wobec problemów malarskości.

One to pozwolą dziś czy jutro dojść ma-larzom wszystkim pracującym w tej dzie-dzinie narodów do wielkiego współczesnego stylu, z zachowaniem odrębności psychiki i temperamentu własnego, z rozwinięciem my-sli narodowej i jej cywilizacyjnej woli w ra-mach uniwersalnej formy artystycznej, któ-ra już dziś obowiązuje zarówno w Londynie jak w New-Yorku, w Warszawie czy Belgra-dzie, w Aleksandrii czy Tel-Avivie, a po woj-nie w Rzymie zarówno jak w Tokio — aby w swoim zakresie doprowadzić ludzkość do stanu, w którym termin „człowiek kultural-ny” oznaczałoby to samo wszędzie tam, gdzie sięgnie współczesna cywilizacja.

Nieuctwo krytyki, czyli mało wytwórny atak na „Faustynę”

Jedno z pism polskich na Wschodzie zamieściło cytaty z powieści Beaty Obertyńskiej „Faustyna”, opatrzone dwoma tytułami: „To nie są ka-wały. Propaganda wytwórnego stylu”. Wyszarpa-ne z książki fragmenty zdań miały stanowić oczywisty dowód pretensjonalności stylu dopro-wadzonej do karykatury, dlatego też nie dodano do nich żadnego komentarza prócz ironicznych tytułowych doczepionych do każdego cytatu. Redakcja nie uznała za właściwe poprosić któregoś z literatów, których ma wielu w swych zasiegu, o rzeczową krytykę subtelnej i o swoistym czarze książki Obertyńskiej. Przytoczenie cytatów miało być wyrokiem apodyktycznym, przypieczętowują-cym los książki. Inicjator tego zadufanego w so-bie wyczynu krytycznego „wzorował się zapewne na wprowadzonej niegdyś w „Wiadomościach Li-terackich” rubryce „Camera obscura”. Przyjrzyj-my się, czy strzał był celny i czy cały ten na-jazd na Obertyńską posiada cechy „rycerskości, których możnaby się spodziewać w piśmie wojsko-wym.”

„...Jeśli nie dajesz Konstantem oczu na po-zarcie... jeśli je gasisz motyliem niepokojem rzęs”.

Pojawiający cytaty wyjaśniamy: to jest bardzo piękne zdanie, to jest bardzo piękna me-tafora (czyli przenośnia; patrz „Stylistyka”). Wystarczy pomyśleć o tym zdaniu, wystarczy je zobaczyć zamkniętymi oczyma. Jak pisał Sło-wacki? „Boże, zdejm z mego serca jaskółczy nie-pokój”.

Inny cytat: „Wszystkie migoty i wszystkie

rosy są w tym krzesaniu zapamiętałym, upartym, obiednie miłosnym, w tych nitkach... którymi zakochany ptak przyszywa do ciemności nietrwa-łość mijającej chwili”.

Znów wyjaśniamy poławiaczowi cytatów, choć wątpliwy czy zrozumie: słowo „nitka” jest tu uży-te zamiast np.: „linia, po której przeleciał ptak”. Irracjonalna czynność ptaka „przyszywającego do ciemności nietrwałość mijającej chwili” — to prze-rzut ze świata uczuć i wrażliwości w wizualność. Obraz trudny do uchwycenia, obraz sugestywny, obraz poetycki i pełen urzekającego piękna.

Jeszcze cytat: „Daleki aksamitny grzmot prze-toczył się po zaświatach”.

Aksamit ma właściwość tłumienia odgłosów. Kamień pada na ziemię z halasem, na aksamit padnie cicho, miękkim uderzeniem. Sciszenie od-głosu dalekiego grzmotu trafnie nazwała Ober-tyńska, aksamitnym.

„Pływała na krągach sukien”. Trafnie. Dobrze. My wiemy, że chodziła, ale tu autorka chciała podkreślić płynność ruchów swej bohaterki. Możnaby dalej prowadzić ten „łopatologiczny” wykład dla poszukiwacza cytatów, ale nie warto. Mechanizm pracy poetyckiej pozostanie dla niego terra incognita, a subtelne i ostre narzędzia poezji nie przebijają zrogowaciałego naskórka jego wra-żliwości. Niech się uczy. Kupny mu stylistyka.

(Ale sam pomysł ironicznego zamieszczenia zbioru cytatów z nieprzeciętnej książki, jaka jest „Faustyna”, budzi uczucie niesmaku.

Władysław Broniewski

Anglicy o Rządzie Polskim i gen. Sosnkowskim

Londyński konserwatywny „The Spectator” ogłasza w numerze z dn. 23 lipca artykuł Roberta Powella p. t. „Poland's New Leaders”, którego pełny tekst podajemy niżej.

Nowy rząd polski został utworzony przed i sprawnie, niż się tego spodziewali liczni z przysięgi Polscy. Obawiali się oni, że z chwilą kiedy wielu członków gabinetu znalazło się na swych stanowiskach jako ludzie wyznaczeni przez gen. Sikorskiego, brak jego silnej indywidualności wywoła wewnętrzne swary i przejściowy chaos. Szczęśliwie, okoliczności wojenne zapobiegły temu a najnowsze wydarzenia doprowadziły do stworzenia gabinetu, który stara się bardziej od poprzedniego uwydatnić swój charakter demokratyczny, przyjmując do swego składu więcej członków Stronnictwa Ludowego i socjalistów, oraz mianując ministrem skarbu Ludwika Grossfelda, co świadczy o bardziej postępowym stanowisku w sprawie żydowskiej.

Świadczy to, że wszystko ma się ku lepszeniu, i pozwala mieć nadzieję, że liczne trudne problemy przyszedł będą potraktowane w duchu demokratycznym. Odnosi się to nie tylko do zagadnienia polsko-rosyjskiego, lecz i do wielu problemów powojennej odbudowy Polski, które szybko już trzeba będzie wziąć pod rozwagę. Jest rzeczą aż nadto częstą, że rząd uchodzący musi wykazywać się rozumem o cechach przenikliwości politycznej i wyrzeczenia się interesów osobistych, o jakie trudno by było w normalnych czasach i jakie wydają się niemożliwe w warunkach obecnych.

Generał Kazimierz Sosnkowski, następca gen. Sikorskiego, został scharakteryzowany przez pewnych komentatorów politycznych, którzy zadali sobie mało trudu w rozgrzyszeniu rzeczywistych przyczyn ostatniego kryzysu, jako „wysoce reakcyjny” i niebezpieczeństwo dla postępu Polski. Może być przeto w pewnej mierze pomocnym omówienie jego dotychczasowej działalności i zaopatrywania.

Sosnkowski był jedynym kandydatem na to wysokie stanowisko. Jego przeszłość żołnierska w zupełności usprawiedliwia tę nominację. Jest on bowiem najożycielszy jedynym polskim oficerem wysokiej rangi, który nie tylko posiada potrzebne kwalifikacje i doświadczenie, ale i cieszy się zupełnym zaufaniem i szacunkiem polskiego żołnierza. Sosnkowski, tak jak i Sikorski, stał się żołnierzem jedynie dlatego, że było to konieczne dla walki o wolność kraju. Podczas ostatniej wojny był on więziony przez Niemców w ciągu szesnastu miesięcy w kilku fortecach. W pierwszych latach po zakończeniu wojny nie tylko odgrywał wybitną rolę w walkach we Wschodniej Europie, lecz także był ministrem wojny w dwunastu różnych gabinetach między 1918 i 1924 r.

Jednak wiele jeszcze lat przed wybuchem wojny obecnej pozostawał w cieniu, głównie dlatego, że nie zgadzał się z polityką Becka. Stał nawet jego nieprzyjacielem nie mogą go winić o wywieranie jakiegokolwiek wpływu na sprawę publiczną Polski tego okresu.

Nawet w krytycznym miesiącu, poprzedzającym nagły atak Hitlera na Polskę, nie chcieli mu dać dowództwa.

Wojna wybuchła. Dwukrotnie jego prośbie o dowodzenie obroną Warszawy odmówił Rydz-Smigiły. Dopiero 10 września, gdy sytuacja stała się rozpaczalna, dano mu dowództwo. Lecz było już za późno. Ze wschodu wkroczyła Rosja i Sosnkowskiemu nie pozostało nic innego, jak uciec w chłopskim przebraniu do Węgier i następnie wyjechać do Francji, by połączyć się tam z Sikorskim.

Sosnkowski nie jest „tylko” żołnierzem. Jest on czymś znacznie więcej. Ale jako naczelny wódz, nikt bardziej niż on nie może się przyczynić do rozwinięcia bojowych możliwości polskich sił zbrojnych, jak i przypilnowania, aby skupiły

one uwagę na sprawach wojskowych. W pierwszym swoim rozkazie dziennym Sosnkowski oświadczył wyraźnie, że nie chce żadnego zajmowania się polityką. „Żołnierz — pisał — jest obywatelom swojej Ojczyzny i troska o Jej los i honor serce jego przepelnia. Lecz Armia nie uprawia polityki. Oddana wyłącznie swoim wojskowym zadaniom i przeznaczeniom, sposobi się nieustannie do boju, mając wzrok utkwiony w pola bitwy, oczekujących ją na drodze do Polski”.

Ci, którzy obserwowali poszczególne fazy rotwoju Polskiej Armii podczas ostatnich dwu lat, pierwsi położyli nacisk na wagę tego stanowiska. Pierwsi też oni równocześnie przyznali, że nie jest to łatwe zadanie, ponieważ armia ta nie składa się z zawodowych żołnierzy, ale z cywili różnych sfer, którzy przywdziali mundury, zdecydowani wywalczyć nową, wolną, i niepodległą Polskę. Dlatego też Sosnkowski, rozumiejąc ten stan rzeczy, w tym samym rozkazie dziennym mówi dalej: „Polski żołnierz rozumie, że najgłówniejszym celem w tej nieubłaganej walce jest odbudowa wolnej, niepodległej, silnej i bezpiecznej Rzeczypospolitej. Marzy on o kraju, w którym zapanuje sprawiedliwość, gdzie wszyscy ludzie pracy znajdą pełne, polityczne i obywatelskie prawa, pragnie, aby cały naród miał zapewnione podstawy dobrobytu i prawdziwe możliwości zdobywania szczęśliwego bytu dla każdej jednostki”.

Sosnkowskiemu zarzucano, iż jest silnie antyrosyjski. Głównym dowodem wydaje się rozkaz jego z teki ministerialnej, gdy to dwa lata temu został podpisany pakt polsko-rosyjski. Przyjacielem jego twierdził, że Sosnkowski był zwolennikiem porozumienia z Sowietami. Gdy Rosja została zaatakowana przez Niemcy, — przebywał on wtedy w Szkocji, lecząc się z ran, odniesionych podczas nalotu na Londyn 10 maja 1941 r., — napisał natchemiaszt do Sikorskiego o przyspieszeniu porozumienia z Sowietami.

Zarzuty jego odnoszą się do momentu zawarcia tego układu i jego niejasnego sformułowania, które miało prowadzić do nieporozumień przy interpretacji na tle twardej rzeczywistości. Historia tu może być sedzją, lecz nikt nie może winić Sosnkowskiego, że sprzeciwił się, stojąc na gruncie osobistych uprzedzeń.

Niektórzy z jego krytyków biorą mu za złe, że „dwa razy myśli”, nim poweźmie jakąkolwiek ważną decyzję. Lecz żaden z nich nie może go posądzać o brak wiedzy praktycznej czy teoretycznej w większości spraw, z którymi miał do czynienia w różnych czasach. Warto tu przypomnieć, że był on zwolennikiem ścisłej współpracy polsko-czechosłowackiej w czasie, gdy wielu z jego rodaków, którzy obecnie oskarżają go o reakcjonizm, odnosiło się do tej sprawy wyraźnie bez entuzjazmu.

Jako nowy wódz naczelny Sosnkowski poświęcił wszystkie swe myśli i całą energię Polakom Siłom Zbrojnym. Przynosi on tu wiedzę, wyniesioną niegdyś ze ścisłej współpracy z najlepszymi mózgiami wojskowymi Francji. Nowy wódz naczelny pełen jest wielkiego podziwu dla osiągnięć Brytyjczyków na polach wojskowości czy innych w ciągu ostatnich czterech lat, jednak można stwierdzić bez wahania, że i z innymi aliantami współpracowałby w wykonaniu ich planów. Niezależnie od oddziałów Polskich Sił Zbrojnych w Anglii, na Bliskim i Środkowym Wschodzie istnieją Polska Armia, gotowa uderzyć na rozkaz Naczelnego Wodza, gdy przyjdzie czas.

Wobec powstania bardziej demokratycznego rządu i ujęcia wojskowej władzy w ręce przez dowódcę, który zdecydowany jest skupić się na zagadnieniach wojskowych, a nie politycznych, można mieć nadzieję na lepsze skonsolidowanie polskich interesów w kraju i na uchodźstwie, pod warunkiem jednak, że zostaną usunięte na stronę osobiste niechęci.

OPINIE ANGIELSKIE

Z początkiem 1942 r. wyszła w Ameryce książka W. F. Kernana p. t. „Defence Will Not Win the War”, która — jak się to dzisiaj okazuje — przepowiedziała dokładnie rozwój strategii Sprzymierzonych. Chociaż kto wie, może nie „przepowiedziała” ale „wpłynęła na”? Olbrzymie powodzenie tej książki w Ameryce świadczy o tym, że musiela widocznie uderzyć w jakąś barierę czującą strunę amerykańskiej mentalności, a jeśli tak było, to przypuszczenie, że „wpłynęła na” rozwój myśli strategicznej amerykańskiego dowództwa, traci cechę naiwnego nieprawdopodobieństwa.

Obecnie obserwujemy analogiczny oddźwięk nowej książki w innej dziedzinie praktycznej polityki. Mam na myśli wydaną w Anglii przed paru dniami oślawioną książkę Waltera Lippmanna p. t. „U. S. Foreign Policy”, która ukazała się parę miesięcy temu w Ameryce. Stała się ona, podobnie jak książka Kernana, „best-sellerem” amerykańskiego rynku księgarskiego, i może mieć jak i ona duży wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych, właśnie dlatego, że wyraża pewne myśli, nurtujące Amerykę.

Też Lippmanna można by ująć, parafrazując mickiewiczowskie „mierzą siły na zamiary”. W polityce zagranicznej — głosi Lippmann — mierzą zamiary według sił. „Polityka zagraniczna polega na ustaleniu równowagi (ze sporą rezerwą po stronie siły) między zobowiązaniami narodu a jego potęgą”. Zasada Monroe — oś dotychczasowej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych — głosząca niedopuszczalność mieszanja się mocarstw europejskich w sprawy kontynentu amerykańskiego, stworzyła dla Stanów Zjednoczonych olbrzymie zobowiązania, którym same nie były i nie są w stanie podołać. Zadał sobie z tego sprawę Monroe i ogłosił swą zasadę dopiero wtedy, gdy Canning, ówczesny brytyjski „Foreign Secretary”, zapewnił ambasadora amerykańskiego, że W. Brytania i flota brytyjska udziela Ameryce poparcia w tej sprawie. I chociaż nie doszło wówczas do formalnej umowy, istniało „gentlemen agreement” dotrzymywane przez flotę brytyjską przez sto lat. Fakt ten nie był, niestety, w Ameryce powszechnie znany, co wywołało sprzeczne z tezą Lippmanna angażowanie się Stanów Zjednoczonych w zobowiązania, przerastające ich siły. Filipiny i Alaska, których aneksja nie miała pokrycia nawet w cichym porozumieniu z Wielką Brytanią, są tego dalszym przykładem. Z obecnym zaś rozwojem lotnictwa zobowiązania Stanów Zjednoczonych (ale także W. Brytanii, Rosji oraz Chin, t. j. tych mocarstw, które po obecnej wojnie nadal pozostaną mocarstwami) rozszerzają się niepomierne, zataczając olbrzymie, przecinające się wielokrotnie koła koniecznej dla obrony sfery wpływów.

Najciekawsza — dla nie-amerykanów — jest ta część książki, która omawia przyszły układ „balance of power”. Japonia i Niemcy przestają zdaniem Lippmanna, istnieć jako mocarstwa. Chiny są tylko potencjalnym mocarstwem aż do czasu, gdy rozwiną odpowiednio swój przemysł. Pozostają Stany Zjednoczone, Anglia i Rosja, które muszą tak ułożyć swe wzajemne stosunki, aby żadne nie czuło się zagrożone przez pozostałe dwa.

Przymierze anglo-amerykańskie jest konieczne, ale zarazem i prawdopodobne, zarówno z powodów geograficznych, jak i sentymentalnych. Kanada — należąca do Commonwealth'u — graniczy ze Stanami Zjednoczonymi na przestrzeni 3000 mil; wszystkie najkrótsze drogi powietrzne z Ameryki do Europy prowadzą przez Kanadę. Alaska, która będzie jednym z największych ośrodków potęgi powietrznej, jest dostępna ze Stanów drogą lądową tylko przez Kanadę; obronę Brazylii — konieczną w myśl zasady Monroe — najlepiej zapewnić z baz brytyjskich, Gibraltaru i Freetown, które są o 1000 mil bliżej do Brazylii, niż najbliższy odpowiednio silny punkt Stanów Zjednoczonych. Jeszcze jaskrawiej występuje ta konieczność współpracy Ameryki na Pacyfiku, gdzie prowadzenie wojny z Japonią byłoby niemożliwe bez baz brytyjskich. W sferę wpływów anglo-amerykańskich wciąga Lippmann wszystkie państwa zachodnio-europejskie, które zarówno ze względów geograficznych, jak i ze względu na pokrewną umysłowość są ich naturalnym sprzymierzeńcem.

Stosunki z Rosją rozpatruje Lippmann z punktu widzenia interesów amerykańskich. Przede wszystkim stwierdza — a stwierdzenie to jest ciekawe zarówno przez swą afirmację, jak i przez swą negację — że nigdy w historii Stany Zjednoczone i Rosja nie zgadzały się ideologicznie, a zawsze popierały się politycznie. Amerykanie nie lubili carskiej autokracji i nie lubią dyktatury sowieckiej. I naodwrot, carowie uważali Amerykę za kraj niebezpiecznie rewolucyjny (dopiero za Aleksandra I w r. 1809 został pierwszy ambasador amerykański zaakredytowany przy rządzie rosyjskim, a pierwszy traktat handlowy zawarła Rosja z Ameryką dopiero w r. 1832), a obecna Rosja uważała Stany za ośrodek „zgnitego kapitalizmu”. Niemniej oba kraje stały politycznie się popierały. Ponieważ u podstawy tej współpracy politycznej leży instynktowne zrozumienie wzajemnego interesu, można się spodziewać, że obecnie — gdy Niemcy i Japonia odpadną jako mocarstwa pierwszej klasy — ten interes strategiczny Rosji i Ameryki przestanie grać. Rosja staje się największą potęgą w zasięgu W. Brytanii, Francji, Holandii i t. d., a więc tych państw, których bezpieczeństwo jest dla Stanów Zjednoczonych koniecznością strategiczną. Z tych samych powodów Ameryka jest także zainteresowana w takim ustaleniu spraw europejskich, które nie będzie wymagało od niej stałego zbrojnego pogotowia. „Nie myślę o pogotowiu zbrojnym przeciw Niemcom, ale — aby sprawę jasno postawić — o siłę potrzebną w Europie przeciw Rosji, gdy Niemcy przestaną być mocarstwem na kontynencie”. „Pokój czy wojna w przyszłości zależą będą od tego, czy losy pogranicza między Rosją a państwami atlantyckimi zostaną ustalone za zgodą zainteresowanych, czy też pod presją, dyktatem lub gwałtem dyplomatycznym. Pogranicze to rozpoczyna się w Finlandii i Szwecji na północy i biegnie poprzez Polskę, kraje naddunajskie, Bałkany i Turcję oraz obejmuje Niemcy. Jeśli na tym obszarze próby ustalenia granic ujawnią poważne i nie do przewyższenia konflikty między Rosją a Sprzymierzonymi, wówczas wiemy, że nowa wojna jest nieuchronna”. Mocarstwa atlantyckie i Rosja muszą ustalić zgodnie i rzeczowo wszelkie sprawy, które mogą wywołać konflikt ich wzajemnych interesów.

Dla Polski ważną jest logiczna konkluzja myśli Lippmanna, t. j. że sprawa Polski bynajmniej nie musi być w owym „dystansie” załatwiona przez mocarstwa po naszej myśli. To prawda, że Lippmann jest tylko dziennikarzem, a jego poglądy są wyrażone tylko w formie książki, ale — jak zaznaczyłem na wstępie — olbrzymie powodzenie tej książki może świadczyć także o tym, że poza nią kryje się jakiś głębszy nurt politycznej myśli Ameryki.

Angielska scena polityczna opanowana jest niemal zupełnie przez walkę dwu stronnictw: Partii Konserwatywnej i Labour Party. I chociaż obecnie wojna oraz koalicja rządowa opuściły kurtynę na sprawy wewnętrzne polityczne, Anglia nie byłaby Anglią, gdyby swobodą myślenia Anglików nie wywołała rozgrywek na tle ideowym. W miarę zaś jak wojna zbliża się ku końcowi, rozgrywki te stają się coraz częstsze i coraz częściej przedostają się na zewnątrz, gdyż partie przygotowują się coraz aktywniej do walki politycznej, która rozgorze natychmiast, skoro tylko zamilkną świsty lecących bomb i zgasną łuny pożarów.

Obserwatorzy angielskiego życia politycznego już dzisiaj uważnie badają wszelkie objawy opinii publicznej i starają się odgadnąć, co angielski wyborca — od którego koniec końców zależeć będzie skład powojennego parlamentu — myśli, jak reaguje na przemiany polityczne i społeczne, które dokonują się i dokonują na całym świecie, i jak, na skutek swych rozważań, odda głos przy urnie wyborczej. Bardzo ciekawą i wnikliwą analizę obu głównych partii angielskich daje „The Economist” z 28 sierpnia b. r. w artykule p. t. „Party Prospects”.

Stwierdza on przede wszystkim wyraźny prąd na lewo we wszystkich krajach Imperium i we wszystkich... partiach. Prąd, który uzewnętrznił się jaskrawym i głośnym zwycięstwem Labour Party w wyborach australijskich, mniej głośnym ale niemniej wyraźnym wynikiem wyborów w kanadyjskim stanie Ontario i w niektórych kanadyjskich wyborach dodatkowych oraz olbrzymim powodzeniem projektów społecznych o zabarwieniu lewicowym, jak plan Beveridge'a, plany reformy szkolnictwa, polityka żywnościowa i t. d. Przeciwnicy partii konserwatywnej widzą w tym znak jej upadku. Niektórzy prorokują nawet katastrofę podobną do klęski liberałów po ubiegłej wojnie, co wydaje się im tym bardziej prawdopodobne, że nie zapomniano w Anglii o winie rządów Baldwin'a i Chamberlaina za rozrost potęgi Hitlera oraz za nieprzygotowanie Anglii do wojny. Przeciw tej opinii pesymistów przemawia jednak fakt, że Churchill — przywódca konserwatystów — poprowadzi niewątpliwie swą partię do wyborów powojennych, oraz fakt, że bardzo duża grupa młodych posłów konserwatywnych — idąc z prądem — inteligentnie i śmiało steruje myślą Partii na lewo.

Jednak klucza sytuacji należy szukać w Labour Party. Czasy są niewatpliwie po temu, aby rządy objęła partia młodsza i bardziej postępową niż nawet najbardziej postępowi konserwatyści. Jak przedstawia się szanse Labour Party? I ona ponosi część winy za przedwojenną politykę zagraniczną, zwłaszcza za to, co Walter Lippmann nazwał polityką „bankruta”. Polityką, która nie umie zrównoważyć swych zobowiązań i siły, potrzebnej do ich wykonania. Nie jest to jednak największą słabością Labour Party. Rozdźwięk pomiędzy ideowcami partii — socjalistami — a jej trzonem — Trade Unionami — wywołuje paradoksalną sytuację partii, zwalczającej ustrój kapitalistyczny, która jednak nie jest gotowa ponieść ryzyko obalenia tego ustroju. Ten dualizm powoduje ostre rozgrywki wewnętrzne w łonie partii, które ujemnie odbijają się na jej sile. Poza tym Labour Party nie szuka sprzymierzeńców poza szeregami robotników i niechętnie patrzy na próby inteligencji zawodowej wstąpienia w jej szeregi. W kraju takim jak Anglia, w którym przesady klasowe są głęboko zakorzenione i którego uprzemysłowienie dało nowej i rozrastającej się warstwie techników i managerów fabrycznych duże wpływy, takie stanowisko Labour Party jest niewątpliwym handicap'em.

Ktoś obliczył, że aby wysłać 700 bombowców nad Berlin potrzeba współpracy 100.000 ludzi. W tym zestawieniu kryje się głęboka prawda o wysiłku wojennym Anglii. M. S. McCordale, Sekretarz Parlamentarny Brytyjskiego Ministerstwa Pracy, ogłosił celem poinformowania Rosji o wysiłku wojennym Anglii następujące oświadczenie: „Wielka Brytania, stosunkowo mały kraj, liczący w połowie 1942 r. 46.750.000 mieszkańców, miała „aktywną” ludność (t. j. w wieku od lat 14—65) zaledwie 33.130.000. Z tej „aktywnej” ludności 15.900.000 było mężczyzn, a 17.230.000 kobiet. Dziesięć milionów kobiet było zamężnych, względnie zatrudnionych przy niezbędnej pracy domowej. Było dziewięć milionów dzieci poniżej lat 14, na które trzeba było uważać. Ilość osób zatrudnionych w całodziennym służbie przy pracy była 22.300.000, z czego 15.300.000 mężczyzn, a 7 milionów kobiet, włącznie z 2.500.000 kobiet zamężnych. Ta liczba nie obejmuje pracy ochotniczej, to znaczy, że członkinie W.V.S. (Women's Voluntary Service) i innych organizacji, pracujące w kantynach, ochronkach i t. d. nie były tu wliczone. W fabrykach broni odsetek kobiet był bardzo wysoki. W przemyśle mechanicznym wynosił 35%, w przemyśle chemicznym i materiałowym — 52%. O jeden milion mężczyzn więcej niż z końcem ubiegłej wojny było zatrudnionych w przemyśle wojennym. Z liczby 3.250.000 kobiet niezamężnych w wieku lat 18—40 ponad 90% było zatrudnionych całodziennie w armii, w obronie obywatelskiej lub w przemyśle. Wszyscy mężczyźni, urodzeni między 1900 a 1925 r., zostali zarejestrowani do służby wojskowej, a mężczyźni, urodzeni między 1892 a 1900 r., do służby pomocniczej. Większość była już w chwili rejestracji zatrudniona przy pracy wojennej. Dwa miliony kobiet i mężczyzn z warstw normalnie nie pracujących w przemyśle zostało zmobilizowanych do tej pracy, a 650.000 kobiet zamężnych i mających obowiązki domowe zostało zatrudnionych północno w przemyśle wojennym. Przymusowo skierowano do przemysłu wojennego zaledwie 26.000 osób.

Cyfrы te mówią za siebie, choć ze względu na tajemnicę wojenną nie są one zupełnie. Nie obejmują one np. ilości mężczyzn i kobiet zmobilizowanych w armii, lotnictwie i marynarce wojennej czy handlowej.

Dominik Szczerbic.

Z PRASY OBCEJ

O politykę Sprzymierzonych w krajach europejskich

Londyński tygodnik „The Observer” zamieścił w numerze z dn. 8 sierpnia artykuł p. t. „Nasz cel”, poświęcony zagadnieniu polityki, jaką Sprzymierzeni powinni prowadzić w zdobywanych czy uwalnianych krajach europejskich.

Artykuł nawiązuje do oświadczenia członka Izby Gmin, Pickhorna, z uniwersytetu w Cambridge, że „nie jest rzeczą właściwą używać wojny dla zmiany urządzeń społecznych” ani też przekonywać Europę, że my tutaj pragniemy wywołać rewolucję w całej Europie i będziemy ją wywołać”.

Autor artykułu jest innego zdania. Dowodzi on, że Sprzymierzeni prowadzą wojnę, mając na oku określony cel, sformułowany w Kartie Atlantycznej. Jest nim „zupełne zniszczenie tyranii nazistowskiej”. Nie wystarczy — zdaniem pisma — zwykła okupacja krajów europejskich z pozostawieniem bez zmian zastanych urządzeń społecznych, ponieważ tyrania nazistowska jest „niezmiernie skomplikowanym, potężnym systemem, obejmującym urządzenia polityczne, społeczne, gospodarcze, prawne i wychowawcze”.

Dlatego autor artykułu jest zdania, że Zjednoczone Narody powinny dawać pełne poparcie żywiom rewolucyjnym w krajach nieprzyjacielskich. Od momentu wybuchu rewolucji „wojna narodowa zamienia się w wojnę domową, a nasza rola jest rola państwa interwenującego w przymierzu z partiami antyfaszystowskimi i antynazistowskimi, którym musimy udzielać rady i pomocy”.

Autor podkreśla, że rewolucja wybuchła już we Włoszech, zauważa, że grzmoty nadchodzącej burzy słychać już na Bałkanach i na Półwyspie Pirenejskim oraz, że „prędzej niż myślimy, burza może wybuchnąć w Niemczech”.

Sytuacja na Węgrzech

W londyńskiej liberalnej „News Chronicle” z dn. 29 lipca pojawił się obszerny artykuł George'a Weidena, omawiający sytuację, jaka powstała na Węgrzech w związku z upadkiem faszyzmu we Włoszech. Autor podkreśla, że już od zeszłego roku widoczne są oznaki, wskazujące na to, że Węgry bardzo chętnie porzuciły wojnę i zerwać

sojusz z Niemcami. Opozycja liberalna zaczyna podnosić głowę i domaga się zaprzestania wojny oraz reform społecznych. Kurczy się natomiast liczba ludzi, którzy chcieliby dotrzeć do „gorzkiego końca” przy Hitlerze. Należą do nich węgierscy są beznadziejnie rozbić.

Dyplomacja węgierska stała się ostatnio bardziej niezależna, a „gabinet węgierski był wcale odważny w swych stosunkach z Niemcami, szczególnie w zakresie stosunków handlowych”. Niemcy musieli się zgodzić na żądanie Węgier na odroczenie należności węgierskich za dostawy artykułów rolnych, w formie odstąpienia akcji i holdingów finansowych w przedsiębiorstwach, znajdujących się na Węgrzech.

Chociaż jednak widoczna jest większa niezależność dyplomatyczna Węgier i wzrost zmęczenia wojennego w kraju, warunki pokoju, jakiegoby sobie Węgrzy życzyli, są nie do pogodzenia z celami pokojowymi aliantów. Węgry nie chcą wyrzec się swych nabytków terytorialnych z ostatnich lat współdziałania z Hitlerem i Mussolinim, a dopóki się to nie stanie, pozostaną wrogami aliantów.

Obszerny artykuł na temat Węgier ogłosiła również londyńska „Tribune” z dn. 13 sierpnia. Wyszedł on z pod pióra hr. Michała Karolyi, przywódcy ruchu Wolnych Węgier w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Artykuł ten jest gwałtownym atakiem na reżim Horthy'ego, stanowiący mieszaninę nowoczesnego faszyzmu i półśredniowiecznego feodalizmu”.

Nowość!

BEATA OBERTYŃSKA

FAUSTYNA

Opowieść

Nakładem wydawnictwa „W Drodze” w Jeruzolimie.

Cena 150 milsołów.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wojna zbliża się ku końcowi. Ktoby nie wierzył, temu powinny dać dużo do myślenia dwa komunikaty amerykańskie. Jeden z nich przynosił wiadomość, że wskutek zmniejszenia zamówień angielskich i rosyjskich produkcję czołgów amerykańskich ograniczono o 40%. Drugi donosił, że intendatura armii Stanów Zjednoczonych cofnęła na ostatni kwartał b. r. 50% swych zamówień mundurowych. Oba komunikaty są bardzo wymowne. Sfery przemysłowe Stanów Zjednoczonych nie chcą powtórzyć błędów jesieni 1918 r., kiedy to zawieszenie broni zastało amerykański przemysł wojenny w momencie największego rozmachu produkcyjnego, i już dzisiaj przystępują do stopniowego ograniczenia działalności tego przemysłu.

Rzecz prosta, kiedy mowa jest o końcu wojny, myśli się tylko o wojnie z Niemcami. Na Pacyfiku Japończycy są co prawda w defensywie, ale postępy Sprzymierzonych są tu ciągle bardzo powolne i do końca wojny na tym froncie jeszcze napewno daleko. Może przybycie lorda Mountbattena do Indii oznacza przyspieszenie tutaj działań wojennych.

Uwaga całego świata jest dziś skoncentrowana na froncie rosyjskim. Czy nowa linia frontu się ustabilizuje, czy też Rosjanie pójda dalej — oto najbardziej dzisiaj palące pytanie. Niemieckie komentarze radiowe zapewniają, że Niemcy nie mają zamiaru cofać się poza linię Dniepru. Rosjanie mówią o wznowieniu ofensywy i o przekroczeniu w trzech punktach Dniepru.

Nowa linia frontu nie jest krótsza od poprzedniej, zato daje ona Niemcom dwa atuty. Po pierwsze — na znacznym odcinku ochrania ich teraz linia Dniepru. Po drugie zaś — pozwala ona na spore skrócenie niemieckich linii komunikacyjnych. W warunkach wielkich trudności, jakie przeżywa transport niemiecki, głównie z powodu braku taboru kolejowego, jest to napewno względniebyłojaki.

Trzeba wreszcie wziąć pod uwagę, że terytoria, jakie Rosjanie mają na swych tyłach, są straszliwie zniszczone. Były one niszczone dwa razy, i to za każdym razem przez niebyłe jakichś majstrów w dziele zniszczenia. Po raz pierwszy pustoszyły je latem i jesienią 1941 r. cofające się armie rosyjskie. Rosjanie nie zawahali się wtedy nawet przed zniszczeniem takiej chłuby techniki sowieckiej (ściślej mówiąc: sowiecko-amerykańskiej), jak sławna tama na Dnieprze, Dnieprostroj. Ostatnio zaś armie niemieckie, cofając się, wysadzały w powietrze lub paliły miasta ukraińskie dzielnicą po dzielnicy. I jedna i druga armia zbierały ze sobą jak tylko mogły największe ludności. W ten sposób olbrzymie połacie Rosji, i to właśnie te prowincje, które przed wojną należały do najcenniejszych zarówno pod względem przemysłowym, jak i rolniczym, zostały zamienione w pustynię. Już zorganizowanie tych terenów nawet w tak minimalnym zakresie, jaki potrzebny jest na tyłach armii, będących w akcji, będzie wymagało od Rosjan wielkich wysiłków. Na zupełne zaś odbudowanie tych terenów potrzeba będzie długich lat i pomocy z zewnątrz.

Horyzont polityczny jest w tej chwili bardzo niejasny. Rozbieżności polityczne, które hamowały przez konieczności wojenne, teraz w związku z bliskim końcem działań wojennych znowu wypływają na wierzch. Co więcej, coraz natężniej wysuwają się te nowe rozbieżności, które związane są z powojennym urządzeniem świata.

Rosja wyjdzie z tej wojny zniszczona gospodarczo i straszliwie skrwawiona. W tych warunkach nawet po zwycięskiej wojnie łatwo o nastroje klęski. Stalin stara się temu zapobiec, wysuwając już dziś daleko sięgające dezeraty polityczne, na zdrowy rozum biorąc, mało zrozumiałe w państwie, którego gęstość zaludnienia jest nie wielka, które ma tak olbrzymie możliwości kolonizacji wewnętrznej i jest niemalże samowystarczalne, jeśli idzie o surowce. Można te dezeraty, bardzo niedwuznacznie nieraz sformułowane, wyczyć za poświęcenie ich propagowaniu nowego dwutygodnika sowieckiego „Wojna i roboty klas”.

W tych warunkach nie dziwnego, że rozmowy przygotowawcze, mające poprzedzić konferencję Eden-Cordell Hull-Motow, idą ciężko i opornie. Ze strony rosyjskiej przygotowywał tę konferencję w Londynie wicekomisarz Majski. Jest on już z powrotem w Moskwie. Zdawałoby się, że wobec tego wszystkie wstępne rokowania są już ukończone. Mimo to terminu konferencji jeszcze nie ogłoszono. Znaczący to, że nawet tak wytrawny negocjator, jak Majski, nie potrafił przemóc wszystkich, piętrzących się na drodze do rokowań trudności.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni dowiedzieliśmy się o rezultatach przygotowań do konferencji tylko jednego: uzgodniono, iż odbędzie się ona w Moskwie. Nie jest to wiele.

Trudności wywołują nie tylko polityczne zadania ZSRR. Ci wszyscy, którzy sądzili, że powojenna współpraca gospodarcza państw anglosaskich z Rosją potoczy się gładko i w szerokim zakresie mimo zasadniczych różnic w ustroju społeczno-gospodarczym, doznali teraz ciężkiego zawodu. Rosjanie odmówili wzięcia udziału w międzynarodowej komisji, która miała zająć się wypracowaniem planów powojennego ustabilizowania waluty. Dla planów tych jest to poważny cios: pomyślane one bowiem były na zasadzie uniwersalności. Nic zatem dziwnego, że komisja postanowiła zawięzać swoją działalność, oraz że Anglicy i Amerykanie zdecydowali się wobec tego na opracowanie swych planów walutowych na innych zasadach. Odmowa Rosji jest jednak charakterystyczna i z innego jeszcze powodu: oto świadczy ona, że Rosjanie nie mają zamiaru zrewidowania zasad swojej polityki gospodarczej w duchu ścisłej współpracy powojennej z aliantami czasu wojennego.

Optymiści zostali tu wprowadzeni w błąd zmianami, jakie zachodzą obecnie w rosyjskim życiu wewnętrznym. Zmiany te są bardzo efektywne, ale kiedy im się bliżej przyjrzyć, okazuje się, że są to tylko zmiany narzędzi, prowadzących do celu, a nie samych celów. Cerkiew była w Rosji zawsze narzędziem państwa i poprostu dzisiejsi władcy Rosji przyszli do przekonania, że Przenajświętszy Synod potrafi skuteczniej od Kominternu upominać się o stworzenie drugiego frontu, a głos Patriarchy w obronie interesów „robotniczego klasa” będzie miał na Bałkanach więcej autorytetu od głosu Dymitriowa.

Mimo tych trudności na jednym odcinku roz-

grywek dyplomatycznych udało się Rosjanom odnieść duży sukces polityczny. Prokurator Wyszyński wszedł do Komisji Środlonmorskiej, będącej w tej chwili główną instancją polityczną w sprawach włoskich. Jest to niebyłoby zwycięstwo dyplomatyczne Rosjan.

Walec maszyny wojennej przetacza się obecnie po Włoszech powoli, ale zato tym gruntownie. Niewielka rozpiętość tego frontu, przeciętego jeszcze pośrodku grzbietem Apeninów, nie pozwala na skoncentrowanie tu większej ilości dywizji. Niemcy prowadzą tu działania opóźniające, Sprzymierzeni zaś, pewni swej przewagi w powietrzu i na morzu, nie spieszą się z marnotrawieniem krwi żołnierskiej. Stąd postępy Sprzymierzonych są na tym froncie powolne. Ale są stałe. Zdobyte Foggii z jej trzynastoma lotniskami powinno im ułatwić zarówno działania lotnicze we Włoszech, jak i ofensywę powietrzną na Niemcy. Zdobyte Neapolu oddaje w ich ręce wielki port, co prawda mocno zniszczony.

Na dzień przed oddaniem Neapolu radio niemieckie donosiło, iż w mieście grasują „komunistyczne bandy”, które wspólnie ze „zdradzieckimi wojskami Badoglio” rabują i — palą miasto. Komunikat był nie najrzeczniejszą próbą zrzucenia odium nienawidzi za barbarzyńskie zniszczenie Neapolu na samych Włochów. Próba nie najrzeczniejsza i z tego względu, iż przyznawał, że w mieście wybuchły rozruchy antyniemieckie.

Nienawidzi, jaką Włosi żywią do Niemców, jest zjawiskiem bardzo znanym. Byli sojusznicy nienawidzą Niemców gorzej od pobitych Francuzów z r. 1940. Potrosze jest to wynik tego, że zawsze najmocniej nienawidzi się byłych przyjaciół, a potrosze jest to jeszcze jeden dowód tego wyjątkowego talentu, z jakim Niemcy potrafili wzbudzać do siebie antypatię u wszystkich obcych.

Uwolniony Mussolini wraz ze zgwałconą przez niego partią faszystowską, tym razem „republiką”, nie wiele mogą tu Niemcom pomóc. To też nazwisko Mussoliniego niemal że zniknęło z komunikatów niemieckich w ostatnich dniach. Najlepszy dowód, że zawiodł pokładane w nim nadzieje i że prestiż jego we Włoszech należy całkowicie już do przeszłości. Fakt przyłączenia do

Rzeszy Triestu, Trydentu i Bolzana, świadczy, że Niemcy zupełnie się z nim obecnie nie liczą.

Ofensywa powietrzna Sprzymierzonych na Niemcy przybrała w ostatnich tygodniach znowu na sile. Jeśli Sprzymierzeni będą mieli możliwość jeszcze przez przeciąg kilku miesięcy bombardować Niemcy w tym tempie, jeden z punktów programów, domagających się gruntownego rozbioru po wojnie Niemiec przez zniszczenie niemieckiego przemysłu wojennego, będzie w znacznej mierze wykonany jeszcze przez zawieszenie broni.

Satysfakcję naszą z takiego rozwoju wypadków pomniejsza jedna okoliczność. Oto niemal że wszystkie ataki RAFu skierowane są w pierwszym rzędzie na zachodnie Niemcy i — w znacznej już skromniejszej mierze — na Niemcy centralne, zupełnie zaś nie obejmują one swoim zasięgiem Niemiec wschodnich. Jeśli tak dalej pójdzie, to rola gospodarcza, a co za tym idzie, także i polityczna, wschodnich prowincji w życiu całej powojennej Rzeszy znakomicie wzrośnie. Nie są to dla nas perspektywy przyjemne.

W atmosferze klęsk na froncie rosyjskim i włoskim, w powietrzu i na morze (sukces na wyspie Kos, jakkolwiek był dla nas nieprzyjemny, niczego tu w ogólnej sytuacji strategicznej nie zmienia) nadciąga listopad, dla Niemców niebezpieczna pora. Propaganda niemiecka stara się na wszelkie sposoby odsunąć nasuwające się analogie z r. 1918. Wtedy bezpośrednie przyczyną klęski było załamanie się Niemiec od wewnątrz, wywołane coraz to drastyczniejszymi ograniczeniami. To też w tym roku dr Goebbels „mit Trompeten und Tambour” ogłosił powiększenie w Niemczech racji chlebowych. Czy jest to premia sławnej organizacji niemieckiej? Czy jeszcze jeden dowód bezwzględności rabusia, żyjącego kosztem głodu obrabowanych? Czy raczej polityka bankruta który stawia va banque, wiedząc, że nie potrafi żadną miarą dotrwać do przyszłych złiw, kiedy jedyna pamiątka po posiadanych żywnych polach ukraińskich będą te setki tysięcy, a może i miliony pospędzanych przez cofające się armie chłopów ukraińskich, których trzeba będzie przecięć żywić?

ww

Poza wszelką granicą...

Premiera teatralna w Tel-Awiewie

„Polski Teatr na Uchodźztwie” pod dyr. A. Szczepańskiego, z siedzibą w Palestynie. „Na granicy” sztuka teatralna w 5 aktach w tłumaczeniu i układzie J. Galla. Reżyseria A. Szczepańskiego.

Zarówno sama instytucja „Polskiego Teatru na Uchodźztwie”, jak i jego premiera tel-awivska, są przykładem tych zwyrodzeń, jakim często ulega życie kulturalne na prowincji.

Ustępił bowiem istotnie na prowincji. Spośród pół miliona ludności żydowskiej, związanej z kulturą europejską, tylko część rozumie język polski i może mieć kontakt z polskim życiem artystycznym, samych zaś uchodźców z Polski jest zaledwie kilka tysięcy. A więc miasteczko, małe miasteczko, gdzie pan starosta jest wielkim dygnitarzem, kto zna dwa języki uchodzi za znawcę polityki zagranicznej, wieczór śpiewaczy starościnie staje się ewenementem, a nowelki erotyczne aptekarskiej uchodzą za znanie nowoczesności.

Chociaż do Palestyny przyjechało wielu, którzy chcieli, albo chcą się dziś zaliczać do polskiej elity inteligencji, jednak ciśnienie atmosfery prowincjonalnej zrobiło swoje. Jakże łatwo o brak trzeźwego sądu, o zdawkowe pochwały, o przeceńnianie dobrych wydarzeń, o skłonności do „grania roli” na wszelkich scenach, słowem jakże łatwo o utratę poczucia proporcji. Do tych niemiernych warunków znakomicie przyczynia się nieodpowiedzialna krytyka ze strony ludzi, którzy przypadkowo mieli do swej dyspozycji środki kształtowania opinii i celowali w posycanie samochwalstwa i kabotyństwa.

Ponadto dołącza się obciążenie psychozą emigracyjną. Każda emigracja jest skłonna z jednej strony — do osłabienia związku z rzeczywistością, a z drugiej — do przeceniania swego związku z wielką tradycją, której pragnie być spadkobiercą. Najczęściej też na emigrację spadają zadania nie tylko że równe tym, jakie były w kraju, lecz zazwyczaj i cięższe i większe i bardziej reprezentatywne. W rezultacie słabszy ilościowo i jakościowo zespół ludzi bywa często podobny do miernego syna sławnego ojca, który usiłuje przesać gestu i powoływaniem się na pochodzenie pokrywać swoje braki.

To też w emigracyjnej reklamie wszystko, choćby było nieokreślone, z niczym nie związane, bylejakie, staje się odrazu polskie, arcy-polskie. A skoro arcy-polskie, to tuż i znakomite, bo przecież jesteśmy patrioci. Drugorzędne figury wybijają się nagle z każdej dziedzin życia i korzystając, że zabrakło gwiazd pierwszej wielkości, usiłują imitować ich blask.

[Chyba tylko tego rodzaju patologiczne, w sensie społecznym, podłoże mogło wyhodować imprezę w rodzaju „Polskiego Teatru na Uchodźztwie” p. A. Szczepańskiego. Trzeba mieć wiele tupetu i bardzo wysoką ocenę własnej wartości, ażeby zakładając teatr amatorski, udający teatr zawodowy, czynić go kontynuacją teatru polskiego na wygnaniu. Trzeba być naprawdę aktorem z głębokiej prowincji, aby mając do dyspozycji pierwociny aktorskie, porywać się na sztukę trzyosobową, wymagającą koncertu gry. Trzeba stracić zdrowy rozsądek, by w czasie obecnej wojny, w Palestynie, pod polską firmą, wystawiać sztukę niemiecką. Trzeba także mieć bardzo gietkie sumienie, ażeby zatajać na afiszu nazwisko niemieckiego autora, zamiast tytuł, oszukiwać publiczność pozorami rzeczy nowej, związanej z polską walką podziemną. Trzeba wreszcie albo nie mieć zdrowego rozeznania faktów, albo posiadać dużo złej woli, by przenosić w teatralnej adaptacji na polskie stosunki sztukę, której jedynymi bohaterami są trzy typy kryminalne.

Premiera bowiem „Teatru Polskiego na Uchodźztwie” to nie pięćdziesiątka rzecz „Na granicy” w układzie p. Galla, ale stare niemieckie sztuczki p. t. „Diablica” z okresu ekspresjonistycznego, napisane przez zmarłego względnie niedawno Karola Schoenherra. Ten grand-guignolski dramat przelożono na kieszka polską, przemalowano na polskie barwy narodowe

i wystawiono w Tel-Awiewie, rozgłaszając, iż będzie to rewelacja z życia ludzi na granicy. Wiemy dziś czym jest i może być granica — organizatorzy zresztą zdyskontowali popularność tego wyrazu.

Drugim podejrzany dyskontem jest nazwisko tłumacza, J. Galla, masuwające nieświadomym myśl, że idzie tu o świętego polskiego teatrologa, Iwo Galla. Oczywiście, sekret polega na nieporozumieniu, spowodowanym przez podanie tylko pierwszej litery imienia tłumacza. Szczęśliwie, już po pierwszych akcie kamouflaż się rozwiewa. Iwo Gali nie potrafiłby pisać zwrotami w rodzaju: „co to za raczka, co?”, „co to za nózka, co?” i t. d.

Niebyłaby humbug, jaki ten pseudo-teatr urządził, jest tym szkodliwszy, że kryminalną afere, wypełniającą treść sztuki, podano w sosie umoralniającego kazania, pragnąc, abyśmy się doszukiwali głębszego sensu moralnego. Mianowicie tekst programu przekonywa, że „dramat rozgrywający się w domu przemysłnika uwypukla owe przesłanki wychowawcze, które przybierają na aktualności zwłaszcza podczas wojny, gdy obowiązki, honor, sumienie i silna wola, należą do najcenniejszych wartości charakteru każdego człowieka i obywatela”.

Przypatrzmy się tedy przesłankom wychowawczym. Polegają one na tym, że stary przemysłnik zwabia do swego domu kaprala straży granicznej, pilnującego ważnego przejścia, i podsuwa mu swą żonę. Dzięki temu pomysłowi, pod osłoną „miłości”, wypiełniający 5 aktów, odbywa się szumnie jedwabnej bielizny. Ponieważ zarówno uwodzieńca, jak i uwodzony, nie grzeszą starością, więc miłość szybko zaczyna zmierzać ku konkretnym wymienionym w jednym żargonie przekład. Sprytna żonka, poznawszy rozliczne różnice między starym mężem, a młodym amantem, postanawia pozbyć się pierwszego, jako niepotrzebnego, drugiego — jako niebezpiecznego ze swą zapalczywą miłością. Prowokuje awanturę, w której kochanek zastrzelił męża, a kochanka obieca mu wzajemian, iż będzie siedział w więzieniu do śmierci. W ten sposób stawczy się swobodną i posiadaczką kamieniczki po mężu, bohaterka sztuki wola radości; — Teraz zaczęły nowe, wolne życie! — Po tym akcie propagandowym, kurtyna spada.

Całość przyprawiona jest „demonizacją” z okresu Przybyszewskiego i opiera się na weiningerowskiej tezie, iż kobieta szuka przede wszystkim rosnącego mężczyzny, któryby ją co rychlej zapłodnił. W Niemczech hitlerowskich sukces powinien być zupełny.

O grze lepiej nie wspominać, jak również o dekoracjach, przedstawiających wnętrza polskiej chaty z weneckim oknem.

Najprzykrejszą stroną tego widowiska, żerującego na zwabianiu naiwnych aktualnym tytułem, jest, że odbyło się ono nazajutrz po dniu protestu przeciw przesładowaniom dzieci polskich przez Niemców. Cóż to mówić o protestach, gdy już następnego dnia „Polski Teatr” gra niemiecką makabrę? Szkoda, że nikt nie zainteresował się wcześniej działalnością tej teatralnej spółki i dopuścił do niebывалого oszustwa, szkodzącego naszemu dobremu imieniu na tutejszym terenie.

Zdzisław Broncel

Rękopisy do redakcji adresować należy

Redakcja „W Drodze”, Jerusaleń, Bezalet Street, House Valero.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

Adres Redakcji: Polish Information Centre Jerusalem, Bezalet Street, House Valero

Wydawca: Ignacy Pokryw Redaktor: St. A. Balicki Drukarnia: The Jerusalem Press

Manifestacja poezji żołnierskiej

Karpacka jest doprawdy zarazem wyjątkiem i wzorcem. Oddziedziczyła świętą tradycję dawnej Karpackiej, tradycję bojową i kulturalną. Gdzie jak gdzie, lecz właśnie chyba w tym oddziale, skupiającym większość ludzi piszących w wojsku, będącym kolebką polskiej poezji żołnierskiej, w obecnej wojnie, mającym tak dziwne formacje jak działon im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, można dziś spotkać żołnierzy, podobnych Józefowi Wittlinowi, który w okopach pierwszej wojny światowej tłumaczył homerowską „Odyseję” i zbierał twórczo dla „Powieści o cierpliwym piechurze”.

Już w początkach swego istnienia Karpacka posiadała własny dziennik. Obok dziennika powstaje dwutygodnik polityczno-literacki „Nasze Drogi”, przemieniając się później w tygodnik „Ku Wolnej Polsce”. Wśród obelżonych w Tobruku ukazuje się jedyne w swoim rodzaju pismo kolumny transportowej „Przy kierownicy w Tobruku”, redagowane przez Ign. Kleszczyńskiego, nie licząc dorywczych, a niesłychanych w treści jednodniówek, jakie wypuszczał przeciw pozycyjnej chandrze Tadeusz Sowicki. Teatr Karpackiej wystawia widowisko „Młodość i Jaremy”, „Lajkonik w Piramidach”, komedię muzyczną „Wojciech i Ich ośmiu i ona jedna”, jedną ze współczesnych sztuk francuskich i Szaniawskiego „Ptaka”. Trzeba było aż 2 lat, aby czołówki A.P.W. nawiązały do karpackich poczyniła i zdobyły się na wystawienie „Dam i huzarów”. Niedawno na pustyni irackiej ukazało się w 4 (!) egzemplarzach, ręcznie ilustrowanych, osobiście „Karawana poetycka”, pismo grupy poetyckiej, o której kiedyś osobno trzeba napisać, wreszcie — Karpacka, jedyna wśród wszystkich oddziałów APW, posiada własne wydawnictwo periodyczne „Gońca Karpackiego”, który, ukazując się co tydzień, osiągnął już jubileuszowego setnego numeru.

Już samo zamierzenie wieczoru autorskiego poetów Karpackiej jest niezwykle. Bywały różne wieczory poetyckie. W Anglii zebrano z polskich oddziałów poetów-żołnierzy i urządzono wspólny festiwal wierszy. Na Środkowym Wschodzie często występowali razem pisarze z pod różnych znaków. Ale dopiero Karpacka pokusiła się równocześnie o urządzenie jazu literackiego i o pochwalenie się przed nim, iż sama, bez pomocy, potrafi wystawić „działon poetów”. Darujemy Karpackiej tę sympatyczną dumę, do której ma zresztą pełne prawo.

Albowiem Tobruk zapisuje się wierszami Białowieskiej, Kobrzyńskiej, Sowickiego, prozą Bogumiła Andrzejewskiego, braci Kleszczyńskich, Janusza Jasieńczyka, reportażami Mieczysława Pruszyńskiego, nowelami St. Pleszczyńskiego (pseudonim St. A. Rola), wspomnieniami A. Bocheńskiego, felietonem J. Erdmana. Jakże żywe pismo mogłoby stworzyć, mając taką ekipę, jaką zebrała sobie Karpacka na potrzeby swego własnego „centrum informacji”.

Rozrost Karpackiej dodaje nazwiska Zdzisława Broncl i Jana Olechowskiego. Pustynia iracka przynosi debiuty Jerzego Bazarewskiego i Henryka Mirzowskiego.

Starczy więc autorów i tekstów na jeden wieczór. Jako gości zaproszono jeszcze Jadwigę Czechowiczównę i Władysława Broniewskiego. M. Wańkiewicz przyrzekł: „słowo wstępne” i tak oto narodziła się poetycka defilada, która mogła nabrać poważnym wydarzeniem literackim.

Wydarzeniem — nie tylko ze względu na pierwszy tego rodzaju pokaz dorobku poezji żołnierskiej, ale wskutek entuzjastycznego przyjęcia, jakiego doznał. Rzeczywistość odpowiadała pięknie dawnym tradycjom Karpackiej, kiedy to kordony żandarmerii musiały bronić sali premiery „Ptaka” przed szturmującą publicznością. Do historii teatru powinien przejść ówczesny regularny atak na bileterów teatralnych.

Dziś było podobnie — kilkaset miejsc zajętych, że aż lawki pękały, obsadzone okna i drzwi, i drugie kilkaset zawiędzonych, dla których sala już była za ciasna. Ten gwar tłumu, ten szturm do wejścia były nieco prostym i hapałowym, ale wymownym dowodem, że poezja żołnierska nie jest tworem oderwanym od życia, zamkniętym w izolowanej wieży z kości sioniowej. Tę ocenę potwierdziły ponadto huczne oklaski, niezliczne bisy i rozpęd Broniewskiego, który był bliski przeczytania całego tomiku.

Nie wszyscy z „karpaczek” mogli być obecni, choć nieraz przyjeżdżali z odległości wielu kilometrów, i autorzy, i słuchacze. Wzięli więc w wieczorze udział następujący: Bazarewski, Broncl, Broniewski, Czechowiczówna, Kobrzyński, Olechowski, Sowicki. Zapowiadał M. Wańkiewicz: Oprócz autorów recytowali artyści Teatru Dramatycznego APW: Jadwiga Domańska, Hugo Piesch-Krzyński. Otworzył wieczór plk. J. w imieniu do-wojdy.

Sens literacki wieczoru „poetów Karpackiej” polegał na tym, że unaczyni, czym jest dziś t.zw. poezja żołnierska. Mielśmy ją w okresie Legionów, dziś znowu do nas powraca. Wskutek jednak szczególnych warunków emigracyjnych jest to poezja — jeśli wyodrębnić Broniewskiego, mającego już przed wojną zdecydowane oblicze — przede wszystkim młodego pokolenia. Z tego punktu widzenia zastępowaliby ona kiedyś na szczytówą analizę treściową i ideologiczną, przekraczającą dziś ramy sprawozdania. Ale i w krótkiej charakterystyce oczywiste jest, iż powstała ona z walki, z cierpienia i z zadumy nad tym, cośmy utracili i do czego tak trudno nam powrócić. W przeciwstawieniu do poezji emigracyjnej pokolenia „Skamandra” mniej jest w niej żałości, zaprawionego rezygnacją smutku, wspomniania przeżytych szczęśliwych lat dwudziestu. To raczej poezja walki, żołnierskiego czynu, poezja przyszłości, zębnąjąca sentymentalne rekwizyty tej Polski, która była, a zwrócona ku tej Polsce, która ma nadzieję. Ten to okazał się bliski żołnierskiemu audytoryum.

Wreszcie — swoistą jej cechą, nawiązującą do czasów romantycznych, jest jej egzotyzm, o ileż jednak prawdziwszy, egzotyzm, który mogli przyjąć poeci z pod znaku autentyzmu, jak np. Kobrzyński. Gdyby zaś szukać patronów formalnych żołnierskiego wiersza, trzeba by wymienić Wierzyńskiego i Gałczyńskiego. Epickość i słonność filozoficzne pierwsze odpowiadały problemowi państwa, który pojawia się w żołnierskiej poezji, fantazja, swoboda i lirizm drugiego stały się bliskie zawiadłości i trochę wiesielczemu humorowi, jaki ma wiersz, pisany w schronie czy okopie.

zb.